

W NUMERZE: Młodzi ■ Super dubel ■ Kanciarze ■ Brama słońca ■ Słonie a sprawa świata ■ Dom nie tylko z nazwy ■ Struktura kamienia ■ Załącznik

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Skazani na niezauważenie

Było to bardzo dawno temu, bo przed wojną. Nowo przyjeźdźcy, w nieprzyzwoicie czystych bratniackich rogatywkach, przestępowaliśmy progi Zakładu Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Siedliśmy niepewnie za wielkim stołem. Energicznym krokiem wszedł profesor Julian Krzyżanowski. Powitał nas dziarskim „witam młodych polonistów” i zadał z miejsca retoryczną zagadkę, na czym polega różnica między polonistą, a interesującym się również literaturą inteligentnym studentem, powiedzmy, politechniką. Ten drugi — mówił — przeczytał kilka do kilkunastu szczególnie modnych w sezonie książek i będzie umiał w efektywny sposób zabierać na ich temat głos. Polonista natomiast powinien znać maksymalną ilość utworów, bez oglądania się na manewry lansjerskie (od lansowania) w danym okresie i umieć się rzeczowo na ich temat wypowiedzieć.

Pokolenie Krzyżanowskiego przeniosło się na Powązki. W miejsce tytułu „uczony” rozetaty-zował się zawód... „naukowiec”. A kiedy się czyta i słucha krytyków, nie sposób nie dojść do wniosku, że są nimi chyba właśnie byli inteligentni studenci, powiedzmy, politechniki. Ich efektowne rozważania, uogólnienia, syntetyz, obracają się z precyzją frygi w kręgu kilkunastu tych samych od mody do mody odpowiednio notowanych nazwisk. Pozorny tylko wyjątek stanowi pewien krytyk poezji, który od lat w dorocznym resume wymienia wprawdzie cały dorobek w tej dziedzinie trzystu sześćdziesięciu sześciu dni, ale mimo to nie chybia ani o setną punktu, w punktowaniu

Dalszy ciąg na str. 8—9

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedy rolnictwo przeżywało okres stagnacji, młodzi ludzie ze wsi, często jeszcze nie wykrystalizowani, podejmowali naukę zawodu, który dziś nie przynosi im ani satysfakcji, ani spodziewanych korzyści. Są takie przypadki, że ludzie ze względów zdrowotnych powinni się przekwalifikować: mogą pracować ciężko, ale na powietrzu, na wsi. Zdarza się, iż zatrudnionym w mieście umierają na wsi rodzice. Kto wówczas obejmie opuszczone gospodarstwo? Czy musi ono iść w obce ręce? Istnieją przecież przykłady wskazujące, że ci, którzy przyszli z miasta na włość, doskonale prowadzili gospodarstwa.

Ale to jest ryzyko. Jeżeli w USA jakiś John White w wieku czterdziestu lat kupuje sobie farmę, to jest to jego sprawa, on odpowiada za wszelkie niepowodzenia. U nas za każdy nieudany eksperyment płaci całe społeczeństwo. Dlatego też ustanowiono przepisy, które stanowią poważną barierę w nabyciu praw majątkowych. Wydaje się jednak, iż te przepisy mają sens głębszy: że powinny w procesie ewolucyjnym doprowadzić do połączenia gospodarstw małych w większe.

Inż. Jerzy Czacki, dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego w Bratoszowicach, uważa, że przepisy ograniczające nabycie praw majątkowych wcale nie zahamują rozwoju gospodarstw ani nie doprowadzą do tego, żeby ziemia leżała odłogiem.

— Polityka rolna ustabilizowała się i na pewno nie będzie już w niej zachwiała, toteż wszystko wskazuje, iż każde gospodarstwo chłopskie znajdzie właściwego użytkownika. Nikt już na wsi nie neguje nowoczesnych środków produkcji, a kłopoty wynikają wtedy, gdy to, co wdrożone, staje się nieosiągalne. Co zaś do przepisów, to wydaje mi się, iż powinniśmy być bardziej elas-

Dalszy ciąg na str. 3



ANDRZEJ MAKOWIECKI

BRAMA SŁOŃCA

(korespondencja z Hiszpanii)

Puerta del Sol nie jest wcale największym i najładniejszym placem stolicy, po bramie zresztą dawno już zniknął wszelki ślad, zaś czarna, mała niedźwiedzica z brązu, wspinająca się na drzewo, nie wytrzymuje porównania z innymi monumentami miasta.

Madryt ma wiele sławnych i obszernych pla-

ców, na których pyszną się posagi królów i przelewają fontanny. Jest Plaza de la Armeria i Plaza de la Cibeles. Jest Plaza Mayor i Plaza de toros Monumental. Jest wreszcie obok kilkudziesięciu innych placów Plaza de España, gdzie można zobaczyć pomnik Cervantesa, Don Kichota i Sancho Pansy. Nawiasem mówiąc, genialny pisarz, siedząc z książką w ręce na czymś w rodzaju tronu i górujący nad swoimi bohaterami, posiadał do niedawna bliźniaczą sylwetkę po drugiej stronie pomnika. Teraz znajduje się tam inna, gipsowa sylwetka bliżej nie określonej osoby, bo tę pierwszą właściwą, wysadził w powietrze (bomba) jakiś współczesny Herostrates.

Zatem — dla turysty Puerta del Sol nie stanowi żadnej nadzwyczajnej atrakcji, szczególnie jeśli ogląda się ją w nocy, albo w południe, wyludnioną i cichą w pierwszym przy-

Dalszy ciąg na str. 12

EUGENIUSZ IWANICKI

kanciarze

Mieszkanie przy rue Ardenne, późny wieczór. Przy stole siedzą trzech mężczyzn i kobieta: Gerard Vincent, André Jakubowski, Jerzy Zawadzki oraz konkubina Gerarda Simone Henriot. Przed nimi paczki banknotów 50 i 100 dolarowych.

— Myślę, że wszystko jest jasne — mówi Vincent. — Zycze powodzenia.

— Oni w kraju nie są tacy naiwni — powatpiewa Jakubowski.

— W Polsce jest run na dolary — spokajają go Vincent. — Biorą bile papierka był zielony i miał portret prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Co ty wiesz. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ryzykujemy — wtrąca Zawadzki.

— Ty ryzykujesz najmniej. W demokratycznym Berlinie nikt cię no-

wet nie zapyta skąd masz dolary.

— Jeśli te dolary są prawdziwe.

— Aby te tu rozpoznać, trzeba specjalisty. No, panowie, bierzcie. Jest ich w sumie 15 tysięcy, wykonanych przez najlepsze firmy i na dobrą sprawę sam diabeł się na tym nie pozna. Ty André połowę z tego puścisz w Polsce, a Yourek swoją w Berlinie Wschodnim. Po zakończeniu akcji wracacie do Paryża i w moim barze „Copernic” dokonamy rozliczenia. Au revoir.

Później, w śledztwie, każdy z nich podawał inną wersję tego spotkania. Sam Gerard Vincent przysięgał, że fałszywe dolary, zresztą za zgodą komisarza policji Lucien Aime-Blanc, otrzymał od przedstawicieli gangu

Dalszy ciąg na str. 3-4-5

DLA POMYŚLNOŚCI NARODU

Przez pięć dni cały kraj żył sprawami VIII Zjazdu PZPR. Obrady najwyższego forum partii skupiały także duże zainteresowanie opinii publicznej świata. W tym czasie gazety codzienne ukazywały się w zwiększonej objętości, telewizja uruchomiła po raz pierwszy specjalne „Studio Zjazdowe”, informując obszernie i na bieżąco o przebiegu obrad. W ten sposób Zjazd stał się wydarzeniem otwartym, w którym „uczestniczyły” miliony osób. W parze z otwartością Zjazdu dał się zauważyć jego roboczy charakter, rzeczowość wypowiedzi, zarówno gdy chodziło o podkreślenie osiągnięć, jak i wskazywanie na trudności. Trzecim wyróżnikiem Zjazdu było zaangażowanie w jego prace prawie wszystkich delegatów. Dyskusje plenarne, a także obrady w 18 zespołach pozwoliły wypowiedzieć się ponad 600 delegatom. Ponad 800 złożyło swe wypowiedzi na piśmie, traktowane jako integralna część dyskusji. To ogromny kapitał myśli, także i do późniejszego wykorzystania, podobnie jak setki tysięcy głosów odnotowanych w partynych instancjach wszystkich szczebli podczas dyskusji nad Wytycznymi KC na VIII Zjazd.



Zjazd spełnił swe obowiązki statutowe, wybrał nowe centralne władze partii, podjął szereg doniosłych uchwał i rezolucji. Po raz czwarty Komitet Centralny PZPR powierzył obowiązki I sekretarza KC, Edwardowi Gierkowi. Jest to niekwestionowany wyraz zaufania, szacunku i poparcia dla przywódcy partii i całego narodu, pod którego przewodnictwem kraj nasz dokonał tak ogromnego postępu w ostatnim dziesięcioleciu. Najwyższy autorytet przywódcy wspierał od lat najlepsze uczucia całego naszego narodu. Mielśmy tego dowody w sposobie przyjęcia przez delegatów wiadomości o wyborze I sekretarza, a w przeszłości wielokrotnie podczas jego licznych, gospodarskich podróży po całym kraju.

Zjazd, w referacie programowym Biura Politycznego KC oraz wypowiedziach delegatów, dokonał generalnej oceny okresu międzyzjazdowego, sytuując ją na tle ostatniej dekady. Jest to ocena pozytywna, która satysfakcjonuje naród i jest zasłużonym powodem do dumy, także w odniesieniu

Dalszy ciąg na str. 2

KOMU ZIEMIĘ?



„Wiara w sens podjętej przeze mnie decyzji chwiała się pod wpływem tak prozaicznych z pozoru okoliczności, jak przystolowy głód i chłód”.

Foto: R. Łucyszyn

Dwa lata temu czytelnicy „Odgłosów” przyznali mi tytuł „Łodzianina Roku” dyrektora Łódzkiej Szkoły Muzycznej I i II stopnia, Kazimierzowi Dębskiemu. Przed miesiącem liczną kolekcją odznaczeń, nagród i wyróżnień, jakie przez wiele lat intensywnie pracy zdobywał nasz niedzisiejszy laureat, wzbogaciła się o Nagrodę Miasta Łodzi.

— Moja satysfakcja z tej otrzymania jest tym większa, że nie będąc łodzianinem, powierzyłem swoje losy temu miastu. Ono przegarnęło tułacza, a ja ze wszystkich sił starałem się spłacić zaciągnięty przed trzydziestu laty dług wdzięczności. Moja wdzięczność, to wdzięczność za skończone tu właśnie, wymarzone studia, za spokojny dom, za pracę w ułomowanym zawodzie, za daną mi możliwość realizowania swoich życiowych pasji.

— Muzyka wydaje się być pana największą pasją.

— To prawda. Ja ją po prostu kocham. Ta mała miłość do niej zaczęła się bardzo wcześ-

— Muzyczne?

— Nie, filologiczne. One wydawały mi się nieco bardziej konkretne. Dziś odnoszę wrażenie, że nie miałem odwagi przypomnieć się muzyce, że trochę przed nią uciekałem, może z obawy przed rozczarowaniem, zbyt bolesną, a niezawinioną niemożnością... Myśl o skończeniu studiów filologicznych musiała opuścić mnie bardzo szybko, właściwie już po pierwszym ich semestrze. Próba odejścia od muzyki zupełnie się nie powiodła. Za bardzo ją kochałem i największą moją radością jest to, że ona nie pozwoliła mi od siebie odejść.

— Rozpoczął pan zatem studia muzyczne?

— Tak, było to w 1951 roku. Ukończyłem zresztą dwa wydziały: wydział pedagogiczny i wydział pierwszy teorii specjalnej. Intensywność nauki, głód wiedzy i tęsknota za muzyką sprawiły, że kończyłem te studia w tempie, które mnie samemu wydało się rekordowe.

— Niemal natychmiast rozpoczął pan też pracę w szkolnictwie muzycznym?

— Dziś mogę powiedzieć, że miała ona wiele etapów, że często wykonywałem ją na wielu polach jednocześnie. Proszę jednak zrozumieć mój zapał. Niebetyczny i niedostępny szczyt moich młodzieńczych marzeń okazał się osiągalny. Wszedłem nań i mogłem robić to, o czym marzyłem całe życie: uprawiać muzykę, i tak, jak mnie uczono niegdyś, teraz i ja mogłem uczyć jej innych. Wszystkich moich uczniów uczyłem jej tylko po to, by mogli dzielić się mną z wspaniałe uczucie pozostawiania w jej świecie. Ten czas pełen zapału sprzyjał rozwojowi sztuki i wspólnemu jej uprawianiu, a ja najbardziej lubiłem muzykę chóralną.

— Wszystkie prowadzone przez pana chóry zawsze zdobywały jakieś nagrody. Który z nich miał szczególne być pierwszy?

— Chór Międzyzszkolnego Ośrodka Prac Pozaekcyjnych. Później chór Technikum Włókienniczego i chór Łódzkich szkół muzycznych. Oczywiście najpełniej realizowałem moją swoją wizję kształcenia muzycznego w łódzkim szkolnictwie muzycznym. Związałem się z nim równie twierdzącemu temu.

— Od osiemnastu lat kieruje pan średnią szkołą muzyczną. Czy przydał się wcześniej doświadczenia pedagogiczne?

— Oczywiście! Bez nich nie byłoby mowy o umiejętności kierowania szkołą. Znajomość całego procesu dydaktycznego jest tu wręcz niezbędna. Od niej zależy poziom naszej pracy. Moje dzisiejsze doświadczenia są sumą wielu lat przemyśleń, obserwacji i analiz. Wiele nauczyłem się od swoich pedagogów. Obejmując dyrekturę szkoły, zostałem ich szefem. Sy-

Dalszy ciąg ze str. 1

do innych krajów. Stworzenie w tym okresie ogromnego i nowoczesnego potencjału przemysłowego, dynamiczny rozwój wszystkich dziedzin życia gospodarczego, nauki, kultury, postępek społeczny i socjalny, wszechstronne działania na rzecz umocnienia socjalistycznej demokracji, samorządności i aktywności społeczno-politycznej ludzi pracy — stworzyło solidne podstawy do wejścia w lata osiemdziesiąte. Stosunek strategii przyjętej przez VI Zjazd, a potwierdzonej i rozszerzonej na VII Zjeździe, znalazła się potwierdzenie w dokonaniach. Zasadnicze kierunki tej strategii będą kontynuowane.

Naszym udziałem jest satysfakcja, ale i świadomość, iż mimo hamulców rozwoju nekających cały świat, moglibyśmy osiągnąć więcej, gdybyśmy potrafili przezwyciężyć negatywne zjawiska wynikające z błędów popełnianych przez nas samych.

Podczas dyskusji przedzjazdowej i na samym Zjeździe zostały one poddane wszechstronnej krytycznej analizie, że wskazanym drogą wyjścia. To także cenny kapitał doświadczenia.

Jeśliż można się było pokusić o skrócone porównania, to trzeba stwierdzić, że jeśli na początku minionego dekady głównym problemem było szybkie odrobienie zaległości, rozszerzenie i umocnienie bazy podstawowej, zwany modelem, itp. domiśle przeobrażenia struktur gospodarczo-społecznych, to obecnie głównym problemem jest „prawa EFEKTYWNOŚCI” wszelkich działań. Podkreślano to wielokrotnie, prawie w każdym wystąpieniu, przy jedynym wyjątku. Jest to jedyna droga, która może gwarantować powodzenie, droga powszechnie świadomości, że tylko dobra efektywność, że tylko dobra efektywność

praca na wszystkich szczeblach i odcinkach, na każdym stanowisku jest przesłanką sukcesu. Zjazd przyjął uchwały, których realizacja zadecyduje o pomyślności kraju i narodu w najbliższym pięcioleciu. Ale nie tylko. Praktycznie jest to perspektywa dłuższa, na całe lata osiemdziesiąte i choćby na tej podstawie można stwierdzić, że wymiar podjętych decyzji ma historyczną doniosłość, a obecne pokolenie Polaków wzięło na swoje barki zadania wielkiej

sił i czekających wysiłków, krzepiło na duchu, ale i uświadamiało konieczność intensyfikowania pracy. Dobrze zostało przyjęte, w niektórych momentach wzruszało, wystąpienie przedstawicielki łódzkich kobiet, Jantyny Zaćwiskiej. Łódzka włókiennicza, Urszula Płazewska, przewodnicząca też jednemu z posiedzeń plenarnych. W zespolach zjazdowych zabrano głos kilkumastu naszych reprezentantów, m.in. sekretarz KŁ, Genowefa Adamczewska.

DLA POMYŚLNOŚCI NARODU

wagi dla obecnego i przyszłego rozwoju kraju, miejsca Polski w świecie.

VIII Zjazd PZPR ma również donieść znaczenie międzynarodowe. Na forum polskich komunistów doszło kolejny raz do potwierdzenia międzynarodowej solidarności z ruchem socjalistycznym i postępu, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i KPZR. Zjazd był także wyrazem pokojowej woli narodu polskiego, a propozycja zwołania pokojowej konferencji w Warszawie dowodem, że tę wolę nie tylko głosimy, ale chcemy — jak w przeszłości — aktywnie przyczyniać się do jej realizacji.

Udział delegacji łódzkiej w pracach VIII Zjazdu był aktywny i znaczący. Podczas obrad plenarnych przemawiał I sekretarz KŁ, Bolesław Koperski, którego wystąpienie dla nas, łodzian, było przypomnieniem o-

W pamięci pozostały nam także wystąpienia delegatów z województwa piotrkowskiego, skierniewickiego i sieradzkiego, regionu najbliższego naszym zainteresowaniom. Jako tygodnik społeczno-kulturalny, egzystujący głównie w tym kręgu, będziemy w przyszłości korzystać z tej formy partyjnej inspiracji. Daliśmy już tego dowód, towarzysząc problemom podejmowanym w czasie dyskusji przedzjazdowej, czego szczególnym akcentem były dwa poprzednie numery „Odgłosów”. Mamy w respolę redakcyjnym świadomości, że tak jak wszyscy, musimy coraz lepiej, głębiej, z rozwagą, ale i odwagą, zmierzać się z zadaniami, jakie wyciyciły dla obszaru naszego działania VIII Zjazd partii.

JERZY WAWRZAK

BEL CANTO KAZIMIERZA DĘBSKIEGO

nie. Pochodzę z chłopskiej rodziny, w której nie było żadnych tradycji tej sztuki. Musiałem się nią jednak zauroczyć naprawdę, skoro memu pierwszemu nauczycielowi, wiejskiemu organistom, udało się przekonać moich rodziców, by posłali mnie do niego na naukę. Jego słowa, „on się powinien uczyć muzyki”, zapamiętałem na całe życie i przysięgam, że niejednokrotnie potwierdzały mi one na duchu, wtedy zwłaszcza, gdy wiara w sens podjętej przeze mnie decyzji chwiała się pod wpływem tak prozaicznych z pozoru okoliczności, jak przystolowy głód i chłód.

— Aż tak kamicista była ta droga do królestwa dźwięków?

— Młodym wszystko wydaje się łatwiejsze, niż było w rzeczywistości. A było naprawdę trudno i naprawdę doskwierało nam głód. Pamiętam swój pobyt w przedwojennej Częstochowie, w której znalazłem się zaledwie z dwudziestoma złotymi, bez żadnych perspektyw na pracę. Spałem wtedy w parkach, na dworcach w kłatkach schodowych czynszowych kamienic. W takiej właśnie małej przytulnej kryjówce znaleźli mnie dobrzy ludzie, dzięki którym dostałem pracę, miałem gdzie spać i mogłem realnie rozważyć swoje szanse na przyszłość z muzyką. Jeszcze przed wybuchem wojny ukończyłem średnią szkołę muzyczną. Egzamin do Konserwatorium Warszawskiego też pociągnął się dobrze, ale zdawałem go wiosną 1939 roku. Jesienią myśli o studiach pojechałem — jak mi się wtedy zdawało — na zawsze. Lata wojny i okupacji przekreśliły nadzieje i marzenia wielu młodych Polaków.

— Do myśli o muzyce wrócił pan jednak...

— Powroty były trudne. Z radością wracał do domu, ale trudno było organizować na nowo życie. Trudno było wracać do sztuki. Rece zdążyły stwardnieć na karabinie, klawiatura to przecież coś zupełnie innego. Muzyka wymagała zresztą ciągłości pracy. Wydawało mi się, że nie będę umiał jej podjąć, że minal już mój dla niej czas, że nie uda mi się odrobić strat. Tyle zresztą było bardziej może prozaicznych, ale przecież niezbędnych dla normalnej, ludzkiej egzystencji, potrzeb i zając. Wiele było także radosnych spotkań z krewnymi i przyjaciółmi, profesorami. Radość, że istniejemy, że przetrwaliśmy, a wkrótce pierwsze głosy, że trzeba się uczyć, na nowo budować Polskę. Mnie uświadomiło to właśnie spotkanie po wojnie nauczyciela. Mała matura, ogólnokształcąca, którą zdawałem u nich przed wojną, była teraz naprawdę za mała. Czy będę umiał się uczyć po tylu, podwójnie licząc, złych latach? Umiałem. Musiałem. Nie było wyjścia. Szybko odrobiłem zaległości i rozpocząłem studia...

tacja była więc dosyć niecodzienna i — ludzkie to sprawy — znaleźć mogła wiele zaskakujących rozwiązań. Zapyta pani czy coś się stało? Nie, nie sensacyjnego. Otoczyła mnie tylko olbrzymia fala ich życzliwości. Dzięki nim nie popełniłem kilku błędów. Wspólnie pracowaliśmy nad stałym podnoszeniem poziomu tej szkoły, wspólnie tworzyliśmy jej klimat, który chwalił sobie zarówno kadra pedagogiczna, znajdująca tu warunki do twórczej, owocnej pracy, jak i młodzież, która nie rozstała się z nami mimo dyplomów i własnych, artystycznych dróg.

— Młodzież mówi o panu z rzadko dziś spotykanym entuzjazmem. Na czym polega tajemnica pana sukcesów pedagogicznych?

— Tu nie ma żadnej tajemnicy. Ja, po prostu, konsekwentnie realizuję zasadę partnerstwa. Tylko ono bowiem daje oczekiwane rezultaty. Moi uczniowie współpracują ze mną w procesie tworzenia. Partnerstwo jest tu podstawowym warunkiem dobrej atmosfery, ta zaś sprzyja osiągnięciu wysokiego poziomu i oczekiwanych rezultatów artystycznych.

— Ilu absolwentów skończyło szkołę „za dyrektora Kazimierza Dębskiego”?

— Dokładnie pięćset dwadzieścia siedmiu. Od początku zaś jej istnienia — dziewięćset. Ponad 80 proc. ogólnej liczby naszych absolwentów pomyślnie zdało egzaminy do wyższych szkół muzycznych.

— Wielu z nich pozostało w utworzonym przez pana, znanym z wysokiego poziomu wykonawczego zespole „Bel canto”.

— Zespół „Bel canto” to moje ukochane dziecko. Narodziło się trzynastu lat temu, jako zespół muzyki dawnej. Obecnie zespół ten poszerzył znacznie swój repertuar, który liczy dwadzieścia pięćdziesiąt pozycji. Wkrótce czeka nas nagranie płytowe. Przez działający obecnie pod patronatem Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego zespół „Bel canto” przewinęło się łącznie sto pięćdziesiąt osób. Wszyscy — i obecni jego członkowie, i dawni — stanowią jedną rodzinę. „Bel canto” stało się też przedmiotem analizy naukowej. Działalność zespołu opisał w swojej pracy magisterskiej Andrzej Matula, dziś już absolwent łódzkiej PWSM.

— Czego życzył panu w związku z otrzymaną nagrodą?

— Zdrowia i siły do dalszej pracy, której wiele widzę jeszcze przed sobą.

— Mam nadzieję, że panu przyniesie ona wiele następnych sukcesów, a nam pozwoli cieszyć się ich jakością artystyczną.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

AKTUALNOŚCI

SZTUKA MŁODYCH ŁÓDŹ '80

Pod takim właśnie hasłem rozpoczynają się w Łodzi ogólnopolskie konfrontacje, będące odpowiedzią na szeroko odczuwaną potrzebę włączenia młodych w nurt samodzielnego życia artystycznego i prób stworzenia im lepszych warunków dla publicznej prezentacji i oceny osiągnięć. Akcja ta ma — w zamierzeniach organizatorów — stanowić imprezę cykliczną, odbywającą się co 3 lata. W bieżącym roku składać się ona będzie z dwóch etapów.

W czasie pierwszego etapu, trwającego do maja br. i mającego charakter lokalny, przewiduje się inspirowanie i pomoc organizacyjną władz kulturalnych i profesjonalnych placówek kultury Łodzi i województwa dla dokonania młodych twórców.

Na scenach teatralnych Łodzi pojawią się samodzielnie realizowane młodych reżyserów, scenografów i aktorów, absolwentów PWSFTiPT i PWSM. Młodzi dyrygeni prowadzący będą zespoły Filharmonii i Teatru Wielkiego, a młodzi śpiewacy i solisti występując w orkielowych partiach spektakli operowych i baletowych. Przewiduje się również prezentację dokonanych kompozycyjnych i wokalistyki koncertowej oraz młodych solistów-instrumentalistów.

W dziedzinie plastyki — uświetni się galerie i salony wystawowe, kilku zbiorowym i indywidualnym prezentacją młodych pokolenia. Zwiększy się także liczba debiutów filmowych w WFO i „SE-MA-FO-RZE”.

„Pokolenie które wstępuje”

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza przy współudziale ZG SZSP. Cena jednego tomiku — 15 zł. I redakcja „Nowego Medyka” ogłasza ogólnopolski konkurs otwarty na serie VIII arkuszy piktorycznych pn. „Pokolenie, które wstępuje”.

W konkursie mogą wziąć udział młodzi poeci debiutanci i tzn. ci, którzy nie posiadają jeszcze własnej książki (nie wyklucza się jednak autorów arkuszy wydanych na powielaczach). Wiek autorów nie może przekraczać 30 lat. Na konkurs należy nadsyłać zestaw 24 wierszy w 4 podpisanych nazwiskiem egzemplarzach (dotychczasowe notkę biograficzną, zdjęcie oraz dokładny adres) do dnia 10.04.1980 r. pod adresem: redakcja „Nowy Medyk”, ul. Oczki 7, 02-007 Warszawa.

Autorzy arkuszy zakwalifikowanych do druku nie otrzymają honorarium — cały dochód ze sprzedaży tomików zostanie przeznaczony na Centrum Zdrowia Dziecka.

Każdy arkusz zostanie opatrzony słowem wstępnym jednego z członków jury oraz zawierać będzie ex libris, wypowiedź i zdjęcie autora. Egzemplarze będą numerowane.

Informujemy jednocześnie, że arkusze serii POKOLENIE KTÓRE WSTĘPUJE otrzymać można jedynie drogą subskrypcji, która może zgłaszać na kartkach pocztowych pod adresem redakcji „Nowego Medyka”. Wysyłka następuje za załączeniem pocztowym.

Powstają nowe możliwości wydawnicze dla debiutów literackich.

Drugi etap Konfrontacji i — zarazem — ich tygodniową kulminację stanowić będzie ogólnopolskie spotkanie młodych twórców w listopadzie br. Ten swego rodzaju przegląd najwybitniejszych zjawisk w sztuce młodych ostatnich lat będzie nie tylko okazją do prezentacji, ale również do oceny, porównań i dyskusji.

Wyboru propozycji i zaproszenia do udziału w „Sztuce Młodych” dokona główny organizator imprezy — Wydział Kultury i Sztuki UMŁ, w oparciu o zgłoszenia z całego kraju i opinie specjalnie powołanych pięciu zespołów kierowanych przez znanych łódzkich twórców i działaczy kulturalnych.

Inicjatywa Łodzi zyskała poparcie Wydziału Kultury KC PZPR i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Patronat nad nią przejął „Głos Robotniczy”.

Choć Konfrontacje nie będą miały charakteru konkursowego, przewiduje się możliwość wyróżnień dla autorów najwybitniejszych dokonań w sztuce młodych Organizatorzy zapraszają również do udziału w imprezach szerokie grono krytyków i publicystów z całego kraju.

Pierwsze spotkanie wszystkich zainteresowanych kształtem Konfrontacji odbędzie się w czwartek, 21 lutego br. w Muzeum Historii Miasta. Zaproszono na nie przedstawicieli władz i krytyków sztuki, oraz — z ów w dziedzinie kulturalnych z całego kraju. Celem spotkania jest uzyskanie wstępnego informacji na temat dorobku poszczególnych ośrodków i dalszych preferencji dla sztuki młodych w innych miastach i województwach, zapoznanie się z programem i zasadami, a także nad kształtem Konfrontacji i jej etapami. O wynikach tych dyskusji, a także o kolejnych imprezach w ramach tej największej akcji kulturalnej w Łodzi w roku 1980 będziemy informować na bieżąco.

(T. SOL.)

KONKURS NA RECENZJĘ

W związku z jubileuszem 35-letniej działalności artystycznej Państwowego Teatru Łódzkiego „Pino” w Łodzi, PTL „Pino”, Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego oraz Redakcja „Odgłosów” ogłaszają konkurs otwarty na:

— recenzję z dowolnego spektaklu prezentowanego na scenie PTL „Pino” w latach 1975—1980 — opracowanie dotyczące artystycznej działalności PTL „Pino” — W konkursie mogą wziąć udział osoby, które nie zajmują się zawodowo recenzowaniem spektakli teatralnych. Objętość pracy — dowolna. Prace należy nadsyłać w dwóch egzemplarzach maszynopisu (dopuszczalne kopie) na adres: PTL „Pino” Łódź, ul. Kopernika 36, z dopiskiem na kopercie „Konkurs” do 31 marca 1980 roku.

Przewiduje się nagrody za recenzję: I — 1500 zł, II — 1000 zł, III — 750 zł; za opracowanie: I — 2500 zł, II — 1500 zł.

Redakcja „Odgłosów” zastrzega sobie prawo publikacji nagrodzonych prac.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego rozdziału nagród.

PAMIĘCI LEONA SCHILLERA

Jak wiadomo, w roku ubiegłym powstał Społeczny Komitet Budowy Popiersia Leona Schillera, którego celem jest uczczenie pamięci wielkiego artysty. Zainicjowano składki pieniężne, powstał też projekt rzeźby, autorstwa Antoniego Błasiaka.

Dzięki ofiarności społeczeństwa Łódź, składki przekroczyły planowaną początkowo sumę, dzięki czemu komitet mógł podjąć decyzję o zwiększeniu skali przedsięwzięcia. Gipsowy odlew popiersia przekazywany zostanie jednemu z łódzkich teatrów, w przygotowaniu jest natomiast projekt rzeźby parkowej, która stanie w Alei im. L. Schillera, jesienią br.

Obecnie składki społeczeństwa sięgają 350 tys. złotych. Na kwotę tej złożony się wpłaty teatrów (z których każdy ofiarował dochód z jednego przedstawienia) zjednoczeń i przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych oraz osób prywatnych. Instytucje i osoby, które najbardziej przysłużyły się sprawie budowy uhonorowane zostaną pamiątkowym medalem.

Przypominamy numer konta: Towarzystwo Przyjaciół Łódzi, PKO i Oddz w Łódzi 47512-6581-132, z zaznaczeniem: „Społeczny Komitet Budowy Popiersia Leona Schillera”.

Zachęcamy do dalszych wkładów. Przekroczenie wymaganej kwoty pozwoli być może podjąć decyzję o budowie kolejnych pomników, których w Łodzi nie mamy przecież zbyt wiele, a które wznosząca jej zażąda.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLIKH, MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDELA, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁĄŻEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KEPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASIEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

tyczni w ich interpretacji. Wiem, że ekonomista po studiach może prowadzić warsztat samochodowy, ale gorzej byłoby mu z prowadzeniem gospodarstwa, bo to wbrew pozorom jest bardziej skomplikowany warsztat pracy.

— A jeśli ktoś potrafi się przeźwyczyć i naprawdę robić to dobrze? — Wzorowy rolnik, starosta centralnych dożynek w Piotrkowie, jest z zawodu krawcem. Ale on był przez kilkanaście lat dobrze szkolony, nauczone go nowego zawodu, opiekowali się nim fachowcy. Obok takich przykładów jest jednak smutna spuścizna. Tysiące rolników bez ukończonej szkoły podstawowej, których nie można szkolić na wyższych kursach, bo nie potrafią sporządzić notatek.

— Z czego to wyniknęło? — Z tego, że w pewnym okresie zawod rolnika jako taki nie istniał, a jeżeli już tak, to był nieatrakcyjny. A poza tym opóźnienie w rozwoju rolnictwa. Uważam, że w rolnictwie powinni pracować urodzeni na wsi. Kiedyś tłumaczono to jednak opacznie. Chłopak się nie uczył, nie ukończył podstawówki, bez której nie mógł dostać pracy w przemyśle, więc siłą rzeczy zostawał na wsi. I takim musimy dzisiaj pomagać. Ale przede wszystkim musimy dążyć do tego, żeby młodzież wieszka kończyła szkoły rolnicze. Dla tych ze „smutnej spuścizny” organizuje się kursy w ramach oświaty pozaszkolnej. Jednakże kurs (160 godzin zajęć) nie daje pełnej wiedzy. Taki kurs dopinguje do samokształcenia, do większego korzystania ze środków masowego przekazu. O zainteresowaniu pracą na roli świadczą ogromna ilość chętnych. Ze względu jednak na skąpe fundusze i niedostateczną ilość instruktorów, w pierwszej kolejności możemy szkolić tych rolników, właścicieli gospodarstw do 8 ha, dla których jest to sprawa pilna, i tych, którzy obejmą gospodarstwa po rodzicach. Uczy się bardzo dużo kobiet, one pragną się czuć równymi współwłaścicielami gospodarstwa...

W województwie miejskim łódzkim, rozdrobnionym, zaniedbanym, szczególnego znaczenia nabiera kształcenie dobrych rolników-producentów. Wyrazem tego jest fakt, że w roku 1975 w szkołach rolniczych było 950 uczniów, a w roku 1979 już 2068 uczniów. Jednakże absolwenci tych szkół nie od razu obejmą gospodarstwa rolne, toteż szczególnie uwagę należy poświęcić szkoleniu dotychczasowych właścicieli gospodarstw zarówno młodszych jak i starszych.

Zaspokajanie podstawowych potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa uwarunkowane jest coraz szerszym stosowaniem nowoczesnych środków i technologii produkcji oraz właściwej organizacji pracy, gdyż te właśnie czynniki mogą uruchomić istniejące rezerwy w produkcji rolnej. Tylko wdrażanie i upowszechnianie wiedzy i postępu rolniczego może zapewnić krajowi producentów, którzy dadzą więcej żywności. W systemie pozaszkolnym prowadzone jest szkolenie dla rolników producentów, pracowników zatrudnionych w rolnictwie i jednostkach obsługujących rolnictwo oraz dla gminnej służby rolnej i kadry inżynierjno-technicznej. Rocznie przeznaczają się na nie ponad 1,6 mln złotych, a wszystko po to, aby ziemia, ten najcenniejszy skarb narodowy, znalazła się we właściwych rękach.

Istnieją dwie główne formy oświaty pozaszkolnej: dokształcanie i doskonalenie w zawodzie. W zakresie dokształcania prowadzi się szkolenia kursowe na tytuły kwalifikacyjne. Podstawowe Studium Rolnicze i Zespoły Przystosowania Rolniczego.

Ministerstwo Rolnictwa zalecało, aby w latach 1976—80 w woj. łódzkim łódzkim kwalifikacje zawodowe uzyskało 3500 rolników. Do końca czerwca 1979 roku wydano już 5400 świadectw. Jest to duże osiągnięcie, zważywszy jednak, że ok. 70 proc. zatrudnionych w rolnictwie nie posiada udokumentowanych kwalifikacji, szkolenie kursowe musi być nadal rozwijane, w 1980 r. na przykład na 53 kursach zamierza się przeszkolić 1700 rolników, którzy otrzymają świadectwa uprawniające do prowadzenia gospodarstw. Uczestnikami mogą być rolnicy z dużą praktyką, po ukończeniu trzydziestego roku życia.

Młodzi, w wieku od 18 do 30 lat, którzy z różnych względów nie mogli ukończyć Zasadniczej Szkoły Rolniczej, mogą zostać słuchaczami Zespołów Przystosowania Rolniczego, które prowadzi WOPR. Od bieżącego roku program przystosowania rolniczego jest dwustopniowy (dwuletni) i realizuje się go na zajęciach dziennych, zaocznych lub wieczorowych, a polega głównie na samokształceniu. Część pracy związana jest z kursami dla chłopów w zakresie mechanizacji, żeby potem mogli zdawać egzamin państwowy, np. na prawo jazdy dla traktorzystów. Dziewczyny kończą w PR kursy dotyczące racjonalnego żywienia.

Dyrektor Czacki wspominał o „smutnej spuściznie”. Otóż w województwie łódzkim jest około 8 tys. rolników bez pełnego wykształcenia podstawowego. Co z nimi zrobić? Sprawę oddano w ręce kuratorium, które wspólnie z gminną służbą rolą prowadzić będzie tzw. Podstawowe Studium Rolnicze. Słuchacze w dwóch semestrach mogą uzupełnić wiedzę z zakresu szkoły podstawowej i przygotować się do egzaminu na tytuły kwalifikacyjne. Niestety, chętnych jest stosunkowo mało. Bierze się to albo ze wstydlivosti, albo ze strachu, lub niewiary we własne możliwości. Można bowiem ukończyć Podstawowe Studium Rolnicze, ale nie znaczy to, że automatycznie jest się dopuszczonym do egzaminu. Kto więc może być dopuszczony do egzaminu państwowego? Kierownik działu szkolenia WOPR w Bratoszewicach, inż. Zofia Krowirandowa, wyjaśnia, że do grudnia 1980 roku do egzaminu kwalifikacyjnego dopuszczają się będzie rolników powyżej 35 lat, posiadających cztery klasy szkoły podstawowej, a potem się chyba z tego zrezygnuje, ponieważ wyniki nauczania są mierne.

— Przy dopuszczeniu do egzaminu państwowego prowadzi się uniklityczną analizę i ostrą weryfikację, łącznie z wglądem do dowodu osobistego. Dlaczego?

— Ponieważ ziemię można dać tylko ludziom, którzy mają odpowiednią staż pracy w rolnictwie. Staż liczy się od momentu ukończenia szkoły. Absolwent podstawówki jest w lepszej sytuacji niż absolwent wyższej uczelni, bo temu ostatniemu staż liczy się od 24 lat.

— Żeby nabyć uprawnień rolniczych, magistrowie pokazują świadectwa szkoły podstawowej?

— Zdarzało się. I dlatego ta weryfikacja. Jeżeli ktoś pracował w gospodarstwie rolnym uspołecznionym, sprawdzamy co robił. W produkcji czy w księgowości? O stażu zatrudnionych w gospodarce indywidualnej zaświadczenia wydaje gmina.

— A jeśli ktoś dojeżdża po pracę w fabryce do sadownika i zrywa jabłka?

— Staż się nie liczy, jeśli praca jest dorywcza. Kiedyś mówiło się, że praca w rolnictwie winna być głównym źródłem utrzymania. To warunkowało uzyskanie kwalifikacji i prawo do spadku.

— Co wobec tego z chłopami-robo-

— Ich sytuacja została obecnie uwzględniona. Jeżeli syn, dwuzawodowiec, mieszka w gospodarstwie ojca, albo w takiej odległości, że ma stały kontakt z gospodarstwem, to liczy mu się staż. Chciałabym jeszcze dodać, że dla zatrudnionych w rolnictwie staż jest bardzo ważny, ponieważ może przynieść także korzyści materialne. Każdy, kto pracuje 7 lat i ma ukończoną szkołę podstawową, może uzyskać na kursie tytuł mistrzowski...

Tak więc mamy już odpowiedź na pytanie, „komu ziemię?”. Ale nie

gospodarstwa, ukierunkowując je na specjalizację. W przyszłości ci młodzi ludzie mogliby tworzyć zespoły rolników indywidualnych.

Na koniec roku 1980 w województwie ma być 2300 gospodarstw specjalistycznych, z czego w 1980 r. powinno zostać wydanych 500 kart. Ci, którzy podejmują produkcję specjalistyczną, muszą systematycznie podnosić poziom zawodowy. Jest to konieczne, ponieważ rolnictwo stale otrzymuje nowe, intensywne gatunki, odmiany, rasy, środki i technologie produkcji, które trzeba szybko

że jakiś nie znany osobnik jeździ z tymi filmami z własną aparaturą i robi projekcję za opłatą „od leba”. Wydaje się, że ten człowiek nielegalnie wykonuje bardzo dobrą robotę. Gdyby kilku takim wydać koncesję, to zdopingowani zarobkiem podnosiliby nam znacznie plan oświaty rolniczej.

Powszechną formą doskonalenia zawodowego, obejmującą wszystkich rolników, którzy nie uczestniczą w innych formach szkolenia, są spotkania organizacyjno-szkoleniowe. Służą one eliminowaniu najczęściej popełnianych błędów agro-izotechnicznych oraz wprowadzaniu nowoczesnych technologii produkcji z równoczesnym ustaleniem zabezpieczenia środków produkcji i usług. Ogółem na 628 szkoleniach uczestniczyć będzie około 11 780 rolników.

Na czym to polega? Otóż ustala się np., że w gminie będzie się uprawiać tyle a tyle kukurydzy. Wyznacza się wsie, instruktorzy rozpracowują plan, u których rolników powinno się siać kukurydzę. Ale samym planem i szkoleniem sprawy się nie załatwi. Potrzebne są środki produkcji i usługi, dlatego też na spotkaniu organizacyjno-szkoleniowym powinni się znaleźć przedstawiciele jednostek odpowiedzialnych za te sprawy. W I części spotkania odbywa się szkolenie, w II części przedstawiciel SKR mówi, jakimi maszynami dysponuje Gmina Spółdzielnia — ile ma nasion oraz ile może zakontraktować. Pod koniec spotkania powinny być zawarte umowy z rolnikami.

— Niestety — mówi Zofia Krowirandowa — często 40 proc. spotkań odbywa się tylko z udziałem instruktora. A jeśli są przedstawiciele SKR, GS, WSOP, to potem brak jest konsekwencji ze strony naczelnika gminy, który powinien rozliczać wszystkich partnerów ze zobowiązań. Jeżeli w kilku gminach spotkania przebiegają prawidłowo, to już jest dobrze...

W instytucjach rolniczych rośnie zapotrzebowanie na fachowców, stąd też trzeba zorganizować przynajmniej 20 kursów zawodowych (łącznie) na traktorzystów, chemizatorów, omiotowych. Stale brakuje ludzi, którzy znalby się na obsłudze wszelkiego typu kombajnów, sieczkarni samobieżnych, kolumn parnikowych, pras samobieżających itp. Brakuje także instruktorów. WOPR stara się doskonalić na kursach gminną służbę rolną i kadrę inżynierjno-techniczną, ale jest to kosztowne, wykładowcy z Warszawy i Skierniewic muszą być, przecież należyce opłaceni. Sporo kuszący także wszelkie pokazy, demonstracje, planse, publikacje książkowe, wystawy. Ale jeśli wystawy w WOPR zwiędza rocznie 14 tys. rolników, daje to niewątpliwie korzyści.

Oświata pozaszkolna bez odrywania słuchaczy od pracy w gospodarstwach pozwala wykształcić fachowców, którzy nie zmarnują ziemi ani oddanych im środków produkcji. Nie należy więc skąpić na oświatę. Ziemi rolnika na gospodarstwie można porównać z robotnikiem kopiującym rowy, którego postawił no przed nowoczesną, zautomatyzowaną obrabiarką. Sam nie zarobi, zniszczy sprzęt, przyniesie straty. Jest doświadczenie, iż kształcenie zawodowe w każdej galezi gospodarki przynosi dochody. Tym bardziej procentuje to w rolnictwie, gdzie tylko wysokie kwalifikacje pracowników mogą zmniejszyć straty wynikające z warunków atmosferycznych. Wiedza rolnicza jest najtańszą inwestycją służącą podniesieniu produkcji. Mechanizacja i wykształcenie rolnicy powinni usunąć problem, komu dać ziemię.

RYSZARD BINKOWSKI

K O M U



ZIEMIĘ?

chodzi przecież tylko o to, żeby dać komuś ziemię i żeby ten ktoś spożywał na laurach. Ziemia musi coraz więcej rodzić i jej użytkownik, aby uzyskać dobre wyniki, wciąż musi pogłębiać wiedzę. Dlatego też organizuje się wspomniane już kursy w zakresie doskonalenia zawodowego. Jedną z form są tutaj Zespoły Młodego Rolnika. Według danych Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych na dzień 1 grudnia 1979 roku w województwie łódzkim jest 20 takich zespołów zrzeszających 143 młodych rolników. Chodzi o to, aby kilku młodych ludzi poprzez wymianę doświadczeń i wspólne samokształcenie unowocześniało swoje

zastosować w praktyce. Aby specjaliści nadążali za nowościami, organizuje się rejonowe szkolenie dla gospodarstw specjalistycznych. Na terenie województwa łódzkiego w 59 grupach uczestniczyć będzie w 178 szkoleniach około 2 tysiące rolników. Są to hodowcy bydła mlecznego i rzeźnego, trzody chlewnej, owczarze, ogrodnicy, producenci ziemniaków, nasion, drobiu, królików itp. Rolnictwo jest rozproszone, stąd też szkolenia rejonowe, trudno bowiem w jednej gminie zebrać odpowiednią ilość specjalistów. Szkolenia uzupełniane są m.in. przez rozmowy i filmy. Ostatnio w „Filmosie” zabrakło filmów. Okazuje się,

OBYCZAJE

KANCIARZE

Dalszy ciąg ze str. 1

przemysłowego Jeana Brenil, Bernarda Trentin i Gerarda de Vito. Ze strony Vincenta miała to być pomoc dla policji w ujęciu groźnej szajki fałszerzy. Niestety, w żaden sposób nie umiał wyjaśnić dlaczego miał wydać owych gangsterów, fałszywe banknoty dolarowe wysłał do Polski i NRD, a potem, kiedy został zaalarmowany przez Jakubowskiego, że sprawy źle idą, sam pofatygował się do kraju nad Wisłą. Co prawda, przedstawił rzewną wersję, z której wynikało, że Polska jest jego wielką miłością, i że tu chciał założyć restaurację i tu się osiedlić i pozostać do końca swoich dni. Zrezygnował o mało to się nie ziszcilo, gdyż

prokurator w swoim oskarżeniu żądał, aby monsieur Vincent przynajmniej przez parę lat pozostał w naszym kraju na gościnnym, państwowym wikcie. Ale to wszystko było dużo, dużo, później.

ŁÓDŹ: SKLEP „PEWEX”.

Kasjerka walutowa, Anna Lemork, bierze banknot 100 dolarowy od młodego mężczyzny i z zawodowego nawyku zaczyna mu się przyglądać. Ni by wszystko w porządku, ale jej doświadczenie podpowiada, by raz jeszcze sprawdzić. Tak, teraz jest pewna: to fałszyk.

— Proszę dowód osobisty — mówi spokojnie.

— Po co? — dziwi się młody mężczyzna.

— Takie teraz przepisy.

Mężczyzna niechętnie wyjmuje dowód i podaje go kasjerce.

— Jan, Wicher — czyta kasjerka. — Zamieszkały w Łodzi przy ulicy Limanowskiego numer... Proszę chwilę poczekać.

Była to brzmienia w skutki chwili. Już po paru minutach Jan Wicher siedział w samochodzie w asyście milicjantów.

Lawina ruszyła.

W dwa dni później zatrzymano André Jakubowskiego. Nawet nie usiłował zaprzeczać: owszem, przywiózł do Polski fałszyfikaty i jednym z nich obdarował przyjaciela Jana Wicher, uprzedzając go lojalnie, że pieniądze jest podrobione. O, proszę, ma tu jeszcze przy sobie: 26 banknotów o 100 dolarów i 97 o 50 dolarów. Ale o żadnym handlu nie ma mowy. To czyste nieporozumienie, wprost żart ze strony służby bezpieczeństwa.

Niestety, milicjanci, ani prokurator nie mieli poczucia humoru: zwinęli André Jakubowskiego i rozpoczęli dochodzenie. Okazało się, że Jakubowski jest obywatelem francuskim, że mieszka na stałe w Paryżu na rue Renneguin, a czasowo w Łodzi. Ponadto okazało się, że wiosną 1975 r. w czasie pobytu w Polsce

pożyty od swego znajomego 30 tys. zł, za co miał dostarczyć barwniki. Ale przyrzeczenia nie dotrzymał. Pożyczki także nie zwrócił. W dwa lata później, gdy zjawił się w Polsce ponownie, znów zaciągnął od innego znajomego pożyczkę 20 tys. zł. I także zapomniał zwrócić. Otrzymał fałszywe dolary USA miał w Polsce wymienić na prawdziwe.

Jak wynika z opinii Narodowego Banku Polskiego — Skarbiec Emisyjny w Warszawie, dolary te wykonano techniką poligraficzno-typograficzną. Pierwszy banknot wykonany tego typu technika ujawniono w 1973 r. w Andorze, natomiast fałszyfikaty 50 dolarowe ujawniono w styczniu 1971 r. w Belgii. W Polsce pochwycił od 1972 r. zaczęto zatrzymywać fałszyfikaty dolarowe wykonywane właśnie tą techniką. Podrabiane w ten sposób dolary USA są notowane w publikacjach Interpolu.

WIELKI BERLIN: ULICA UNTER DER LINDEN.

Po chodniku spaceruje młody mężczyzna niecierpliwie spoglądając na zegarek. Mija piętnaście minut, potem pół godziny, co czekającego wy-

prowadza z równowagi. Ale oto zjawia się spóźniony gość. Uścisk ręki i w tym samym momencie...

— Policja Ludowa, proszę zachować spokój!

— Co jest?

— O co chodzi?

— Dowiedzie się wszystkiego na policji.

Jeszcze usiłowali udawać, powoływali się na nieznaną języka, na obce obywatelstwo, ale gdy kazano im opróżnić kieszenie, dalsza gra przestała mieć sens.

— Jerzy Zawadzki — z trudem wymawia funkcjonariusz. — Obywatel Polski, zamieszkały w Łodzi. Posiada przy sobie 5.400 marek NRD, 510 franków oraz dwudziestodolarowy banknot. Jest także kwit od skrytki na dworcu Friedrich Strasse. Niech no który pojedzie i dostarczy tu jej zawartość.

— To ja powiem od razu.

— Proszę.

— Mam tam schowane 3.850 fałszywych dolarów. Prócz tego na kwaterze u pani Wróblewskiej mam jeszcze 1.400 dolarów prawdziwych, 1.750 marek zachodnioniemieckich.

Dalszy ciąg na str. 4

LUDZIE SPOŚRÓD NAS

— Aby zostać pielęgniarzką trzeba mieć ponad to tego zawodu powołanie. Jak to było u pani?

— To był zupełny przypadek. Miałam w szkole przyjaciółkę, która wybierała się do liceum medycznego. Ja nie byłam jeszcze zdecydowana. I pomyślałam sobie, że jak ona tam idzie, to i ja pójdę, będziemy dalej razem. I tak zostałam pielęgniarzką.

— I nie żałuje pani tego?

— Nie. Praktyka nie zdyskwalifikowała mojej decyzji.

— Polubiła pani ten zawód?

— Bardzo.

— I teraz już pani nie zamieniłaby go na inny?

wszystkie jednakowe?

— O nie. One są bardzo różne. Jedne są ładne, inne nie, ale wszystkie takie fajne. I wszystkie są jednakowo ważne, wszystkim trzeba się tak samo dobrze opiekować.

— Jakie cechy powinna mieć dobra pielęgniarzka?

— Zawsze miałam kłopoty z uszeregowaniem tych cech w szkole, kiedy mnie o to pytano. Bo wszystkie cechy są wspólne, ale co innego trzeba postawić na pierwszym miejscu u pielęgniarzki środowiskowej, a co innego u takiej, która będzie pracowała na oddziale intensywnej terapii. Na oddziale intensywnej terapii naj-

one biorą?

— Do szpitala przychodzić leczyć się różni ludzie, także nasze znajome, krewni, koledzy. Stosunek do kogoś bliskiego czy znajomego jest jednak trochę inny niż do pozostałych pacjentów, więc może chcą sobie „kupić” życzliwość czy troskę.

— Gdyby jednak przyszło pani zmienić oddział, jaki by pani wybrała?

— Nigdy o tym nie myślałam. Nie chciałabym zmieniać oddziału. Przy niemowlętach czuję się bardzo dobrze. Na rannym zmianie jest na przykład siedem osób, możemy sobie w czasie pracy porozma-

szym szpitalu. Mamymy dodatkowo kłopoty z odwiedzającymi, którym tu nie wolno wchodzić, a starają się mimo to zażyć. Aby zobaczyć dziecko, czy matkę. Chociaż to inna sprawa. Mówię o tym dlatego, że wydaje mi się, iż obok zalet szpitala stanowiącego zamknięty kompleks, ma on też wady. Nasz oddział powinien być w pawilonie, aby był odizolowany od całości.

— Pracuje pani na oddziale, gdzie rodzi się nowe życie, ale i tam zdarza się śmierć.

— Przez pół roku pracy nie zmarło ani jedno dziecko. Nawet się dziwiłam, bo tyle słyszałam o wysokiej śmiertelno-

skonałych aparatów. Bardzo nowoczesnych. Jak one są wykorzystywane, tego powiedzieć nie mogę. Mogę natomiast powiedzieć, że nasze inkubatory dla wcześniaków są już przestarzałe. Przygotowując się do konkursu o „Złoty czepek” widziałam zdjęcie i opis inkubatora z najnowocześniejszym wyposażeniem, gdzie wszystko można robić koło wcześniaka nie wyjmując go z inkubatora. U nas trzeba wcześniaki wyjmować. Chciałabym, żeby i u nas były takie inkubatory.

— Ale to od pani nie zależy.

— Niestety, nie.

— A jaki wpływ mają panie na stosunki w szpitalu, orga-

— Jakby pani określiła pracę pielęgniarzki: lekka, średnia, czy ciężka?

— Na ogół ciężka i odpowiedzialna, ale stopień ciężkości zależy od oddziału. Czasem trzeba i salową zastąpić, bo ich jest mało i nie wszystkie dobrze pracują. To szczęście, że kandydaci na studentów medycyny przychodzą do pracy w szpitalu, aby zdobyć sobie punkty. Oni się do takiej pracy przyklaskają. To nam pomaga, ale i tak mamy sporo dodatkowych obciążeń. Szczególnie w nocy, kiedy choremu trzeba pomóc, nie oglądając się do kogo ta praca powinna należeć. U nas też tak bywa.

— Czy w szkole medycznej byli chłopcy?

— Było pięciu. Trzech z nich szkołę ukończyło. Dwóch zrezygnowało wcześniej. Z pozostałych nikt nie pracuje w szpitalu.

— Dlaczego? Czy w szpitalu niepotrzebni są mężczyźni?

— Bardzo. Na urazówce jest pielęgniarz, Marek. Jak ma wolny dzień, cały oddział jeczy. On nie powinien mieć wolnych dni — mówią — bo bez niego jest kilkakrotnie ciężiej. Ale mężczyźni nie chcą pracować jako pielęgniarze. To mało płatny zawód. Gdzie indziej, nawet bez specjalnych kwalifikacji, mężczyzna zarobi dwa albo i trzy razy tyle. Kobiety jakos się z tym godzą. Nie wszystkie, bo nadmiaru pielęgniarzek nie ma.

— Co dalej? Osiągnęła pani pewien poziom wiedzy, teraz zdobywa pani praktykę. Przyszła pani do szpitala im. Kopernika, bo chciała się pani uczyć. Czy myśli pani o tym „dalej”?

NIEMOWLAKI SĄ TAKIE FAJNE

— Nie, nie zamieniłabym.

— A czy pani koleżanki też trafiły do tego zawodu z przypadku? Czy może zna pani kogoś, kto przyszedł z zamiłowania?

— To jest bardzo różnie. Dziewczęta z różnych powodów zostają pielęgniarzkami. Jedna z moich koleżanek zdecydowała się zostać pielęgniarzką właśnie z powołania. Na praktyce w szpitalu była wspaniała. Tyle serca wkładała w to, co robiła. A teraz jest inaczej. Rozczarowała się. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie pracę pielęgniarzki.

— Pani praca w szpitalu im. Kopernika jest pierwszą pracą po dyplomie?

— Tak.

— W jaki sposób pani tu trafiła? Był to świadomy wybór, czy znów przypadek?

— To już zrobiłam świadomie, choć i przypadek trochę zdecydował. Mieszkam niedaleko szpitala. W tym szpitalu nie mieliśmy praktyk, więc go nie znałam. Moja koleżanka też tu mieszka blisko. Po ukończeniu szkoły zastanawialiśmy się, gdzie szukać pracy. Szpital Kopernika wydawał się nam nowoczesny, uważaliśmy, że wiele się tu jeszcze będziemy mogły nauczyć. I przyszyliśmy zapytać o pracę. Była. Było to przed wakacjami. Zalałwiliśmy formalności i wyjechałyśmy na wakacje. Po powrocie okazało się, że nie ma wolnych miejsc. Ale tu zdecydował przypadek, że akurat pielęgniarzki dostały urlop bezpłatny na wychowanie dzieci i mogliśmy się „zalać” na pozostatek. I tak już zostało.

— Ileż już pani pracuje?

— Pięć lat.

— I jest pani zadowolona?

— Do tej pory tak.

— Na jakim oddziale pani pracuje?

— Na oddziale noworodków. Miałam do wyboru trzy możliwości: oddział noworodków, chirurgię urazową i chirurgię ogólną. Wybrałam noworodki.

— Dlaczego?

— Nie jestem ani duża, ani silna. Nie dałabym sobie rady z pacjentami, których trzeba przesuwawać, zmieniać im pozycję, podnosić. Moja koleżanka pracuje na oddziale chirurgii urazowej, to wiem, jak jej czasem jest ciężko. A poza tym niemowlaki są takie fajne.

— Dużo ich jest na oddziale?

— Czasem do pięćdziesięciu.

— I nie wydadzą się pani

ważniejsza jest spozstrzegawczość.

— A na oddziale noworodków?

— Chyba sumiennie. Niemowlaki nie powie przecież co go boli, albo czy chce lub nie chce jeść. Trzeba je wszystkie jednakowo traktować i być sumienną. Trzeba też sumiennie wykonywać wszelkie polecenia lekarza.

— A poza tym pielęgniarzka musi być punktualna, dokładna, systematyczna, no i koleżeńska.

— Czy to takie ważne?

— Bardzo. Nas jest mało, czasem trzeba kogoś zastąpić, pomóc, przyjąć o 15 minut wcześniej. Gdybyśmy sobie nie pomagały, to i nam byłoby trudno i chorym też, bo zdenerwowana pielęgniarzka może popełnić jakiś błąd, być nie przyjemna dla chorego.

— Czy pielęgniarzka zawsze jednakowo traktuje chorych?

— Nie chciałabym mówić za inne, ale ja tak. U nas na oddziale nie można inaczej. Pewnie, że czasem zdarzy się jakieś prześliczne niemowlę, to się je otacza jakby większą opieką, czułością, ale bez szkody dla innych.

— Sporo się ostatnio mówi o tym, że w szpitalu trzeba sobie pozyskać życzliwość i troskę personelu. Raz będzie to kwiatek, innym razem czekolada, innym razem butelka kolanu, albo wręcz koperta. Co pani o tym sądzi?

— Mnie się to nie przydało. Niemowlęta nie mówią i nie nie dają.

— A matki? Przecież macie panie kontakt z matkami.

— Oczywiście. Wozimy dzieci do karmienia. I nie tylko, bo niektóre matki nie karmią, ale kontakt z dzieckiem muszą mieć, bo to jest potrzebne i matce i dziecku. Ale niektóre matki nawet nie powiedzą „dziękuję”, kiedy wychodzą ze szpitala. Inne są na przykład bardzo niezadowolone, kiedy o północy przywozi się dzieci do ostatniego karmienia, a one chciałyby spać, bo nie karmią. Zdarzają się takie, które mogłyby karmić, ale nie chcą, bo mówią, że im się piersi zdeformują. Są zadowolone, że nie muszą się zajmować dziećmi.

— Ale nie przeczy pani, że są takie opinie na temat szpitali?

— Czasem, jak jestem gdzieś w towarzystwie i nie wiem, jaki mam zawód, to spotykam się z takimi opiniami.

— I jak pani myśli, skąd się

wiać, popłótkować nawet, niemowlaki tego nie słyszą. Czujemy się swobodnie, co wcale nie znaczy, że mamy taką lekką pracę. Wśród dorosłych chorych czułabym się chyba źle. Byłoby mi pewnie trudno z nimi nawiązać kontakt, a to jest bardzo ważne. Opiekując się chorym nie można myśleć tylko o jego potrzebach biologicznych, o terapii, ale także o jego potrzebach psychicznych.

— Pracuje pani na jednym oddziale, czy można powiedzieć, że przy okazji tej pracy poznała pani cały szpital?

— Tak. Zresztą też przez przypadek. Zostałam wytypowana do konkursu o „Złoty czepek”. Przygotowując się do tego miałam możliwość zapoznać się z pracą całego szpitala, wszystkich jego oddziałów.

— A jak pani wypadła w tym konkursie?

— Można powiedzieć, że dobrze. W eliminacjach szpitalnych zajęłam drugie miejsce, w wojewódzkich — czwarte, a w finałach — trzecie.

— Należą się pani gratulacje. Jest pani z tego zadowolona?

— Dzięki, ale mogłabym chyba zająć lepsze miejsce. Byłam najmłodsza wśród startujących. Niektóre panie miały większe staż i większe doświadczenie i to mnie bardzo peszyło.

— Nie ma nic złego w tym, że się przegrywa z lepszymi.

— Ale w szpitalu liczyli, że zdobędę jeszcze lepsze miejsce i dlatego trochę mi głupio.

— Praktykę odbywała pani w różnych szpitalach. Może jest pani porównać. Jak na tym le ocenianiu pani szpital im. Kopernika? Jego projektant dostał nawet nagrodę.

— Najbardziej podobały mi się szpitale wojskowe. Są najlepiej wyposażone i bardzo dobrze utrzymane. Szpital Kopernika jest wprawdzie najnowocześniejszy z łódzkich, ale nie o wszystkim tu pomyślano. Nasz oddział znajduje się na siódmym piętrze, okna nie są szczelne. Latem jest tu gorąco, zimą zimno. Na szczęście nie u noworodków. Ale jak się wchodzi z ciepłej sali noworodków na zimny korytarz, to zaraz trzeba okrywać się peletyną. Nie pomyślano o pomieszczeniu dla pielęgniarzek. Nie mamy gdzie odpocząć, zjeść. Wynika to zresztą z tego, że robi się już ciasno w na-

szym szpitalu. Mamymy dodatkowo kłopoty z odwiedzającymi, którym tu nie wolno wchodzić, a starają się mimo to zażyć. Aby zobaczyć dziecko, czy matkę. Chociaż to inna sprawa. Mówię o tym dlatego, że wydaje mi się, iż obok zalet szpitala stanowiącego zamknięty kompleks, ma on też wady. Nasz oddział powinien być w pawilonie, aby był odizolowany od całości.

— Pracuje pani na oddziale, gdzie rodzi się nowe życie, ale i tam zdarza się śmierć.

— Przez pół roku pracy nie zmarło ani jedno dziecko. Nawet się dziwiłam, bo tyle słyszałam o wysokiej śmiertelno-

skonałych aparatów. Bardzo nowoczesnych. Jak one są wykorzystywane, tego powiedzieć nie mogę. Mogę natomiast powiedzieć, że nasze inkubatory dla wcześniaków są już przestarzałe. Przygotowując się do konkursu o „Złoty czepek” widziałam zdjęcie i opis inkubatora z najnowocześniejszym wyposażeniem, gdzie wszystko można robić koło wcześniaka nie wyjmując go z inkubatora. U nas trzeba wcześniaki wyjmować. Chciałabym, żeby i u nas były takie inkubatory.

— Ale to od pani nie zależy.

— Niestety, nie.

— A jaki wpływ mają panie na stosunki w szpitalu, orga-

— Jakby pani określiła pracę pielęgniarzki: lekka, średnia, czy ciężka?

— Na ogół ciężka i odpowiedzialna, ale stopień ciężkości zależy od oddziału. Czasem trzeba i salową zastąpić, bo ich jest mało i nie wszystkie dobrze pracują. To szczęście, że kandydaci na studentów medycyny przychodzą do pracy w szpitalu, aby zdobyć sobie punkty. Oni się do takiej pracy przyklaskają. To nam pomaga, ale i tak mamy sporo dodatkowych obciążeń. Szczególnie w nocy, kiedy choremu trzeba pomóc, nie oglądając się do kogo ta praca powinna należeć. U nas też tak bywa.

— Czy w szkole medycznej byli chłopcy?

— Było pięciu. Trzech z nich szkołę ukończyło. Dwóch zrezygnowało wcześniej. Z pozostałych nikt nie pracuje w szpitalu.

— Dlaczego? Czy w szpitalu niepotrzebni są mężczyźni?

— Bardzo. Na urazówce jest pielęgniarz, Marek. Jak ma wolny dzień, cały oddział jeczy. On nie powinien mieć wolnych dni — mówią — bo bez niego jest kilkakrotnie ciężiej. Ale mężczyźni nie chcą pracować jako pielęgniarze. To mało płatny zawód. Gdzie indziej, nawet bez specjalnych kwalifikacji, mężczyzna zarobi dwa albo i trzy razy tyle. Kobiety jakos się z tym godzą. Nie wszystkie, bo nadmiaru pielęgniarzek nie ma.

— Co dalej? Osiągnęła pani pewien poziom wiedzy, teraz zdobywa pani praktykę. Przyszła pani do szpitala im. Kopernika, bo chciała się pani uczyć. Czy myśli pani o tym „dalej”?

Rozmowa z URSZULĄ KOSIOR — dyplomowaną pielęgniarzką z Wojewódzkiego Szpitala Zespólnego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi



„Niemowlaki nie powie przecież co go boli, albo czy chce, lub nie chce jeść”

ści niemowląt w Łodzi. Dotychczas miałam tylko dwa takie przypadki, kiedy brałam udział w ratowaniu niemowląt. Raz wcześniaka, a raz normalnego noworodka. Zmarło jedno i drugie. Ale już nie na moim dyżurze. Bezpłodnie ze śmiercią nie zetknęłam się. Musi to być okropne. Człowiek tyle robi, żeby to małenstwo utrzymać przy życiu, a jak to się nie udaje, to to jest straszne.

— Czy zdaniem pani szpital jest dobrze wyposażony w aparaturę? Miałabym pani możliwość porównania w innych szpitalach, choćby w czasie praktyki.

— Na praktykach nie dopuszczono nas do zbyt skomplikowanej aparatury, to wymaga specjalnego przygotowania. U nas mamy wiele do-

zyszczeń. W Łodzi. Dotychczas miałam tylko dwa takie przypadki, kiedy brałam udział w ratowaniu niemowląt. Raz wcześniaka, a raz normalnego noworodka. Zmarło jedno i drugie. Ale już nie na moim dyżurze. Bezpłodnie ze śmiercią nie zetknęłam się. Musi to być okropne. Człowiek tyle robi, żeby to małenstwo utrzymać przy życiu, a jak to się nie udaje, to to jest straszne.

— Czy zdaniem pani szpital jest dobrze wyposażony w aparaturę? Miałabym pani możliwość porównania w innych szpitalach, choćby w czasie praktyki.

— Na praktykach nie dopuszczono nas do zbyt skomplikowanej aparatury, to wymaga specjalnego przygotowania. U nas mamy wiele do-

zyszczeń. W Łodzi. Dotychczas miałam tylko dwa takie przypadki, kiedy brałam udział w ratowaniu niemowląt. Raz wcześniaka, a raz normalnego noworodka. Zmarło jedno i drugie. Ale już nie na moim dyżurze. Bezpłodnie ze śmiercią nie zetknęłam się. Musi to być okropne. Człowiek tyle robi, żeby to małenstwo utrzymać przy życiu, a jak to się nie udaje, to to jest straszne.

— Czy zdaniem pani szpital jest dobrze wyposażony w aparaturę? Miałabym pani możliwość porównania w innych szpitalach, choćby w czasie praktyki.

— Na praktykach nie dopuszczono nas do zbyt skomplikowanej aparatury, to wymaga specjalnego przygotowania. U nas mamy wiele do-

zyszczeń. W Łodzi. Dotychczas miałam tylko dwa takie przypadki, kiedy brałam udział w ratowaniu niemowląt. Raz wcześniaka, a raz normalnego noworodka. Zmarło jedno i drugie. Ale już nie na moim dyżurze. Bezpłodnie ze śmiercią nie zetknęłam się. Musi to być okropne. Człowiek tyle robi, żeby to małenstwo utrzymać przy życiu, a jak to się nie udaje, to to jest straszne.

— Czy zdaniem pani szpital jest dobrze wyposażony w aparaturę? Miałabym pani możliwość porównania w innych szpitalach, choćby w czasie praktyki.

— Na praktykach nie dopuszczono nas do zbyt skomplikowanej aparatury, to wymaga specjalnego przygotowania. U nas mamy wiele do-

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

KANCIARZE

Dalszy ciąg ze str. 3

jednego złotego kruggeranda. Pieniądze te uzyskałem ze sprzedaży fałszywych dolarów. Ale to wina Vincenta, Gerarda Vincenta, który dał mi je do sprzedania!

— Dobra, ustalimy to później. Teraz ten drugi. Wacław Niski, obywatel polski, zatrudniony tymczasowo w redakcji „Neues Deutschland” w charakterze pomocnika drukarza, mieszkający tymczasowo na Marchlewski Strasse 27, posiada przy sobie 6.900 marek NRD, 450 fałszywych

dolarów USA, 200 marek RFN i 100 guldenów holenderskich. Zgadza się?

— Zgadza.

— To proszę tu podpisać. Stosownie do umowy pomiędzy Polską Rzeczpospolitą Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną obaj zostaniecie przekazani do dyspozycji władz polskich.

WIZERUNKI EN FACE I Z PRO-FILU.

Jerzy Zawadzki wyjechał do Francji na dłuższy pobyt i tam poznał Vincenta. Wziąłszy od niego około 8 tys. fałszywych dolarów w banknotach 50 i 100 dolarowych i przeje-

chawszy do stolicy NRD, sprzedał z tego 2.800 dolarów, za co kupił 25.400 marek NRD, a następnie za te marki nabył 1.000 dolarów prawdziwych, 1.700 marek NRD i jednego złotego kruggeranda (moneta złota bita w Republice Południowej Afryki). W Berlinie rozwinął ożywioną działalność „handlową”, szczególnie w hotelach „Stadt Berlin” i „Berolina” zaczepiając tam Arabów, Jugosłowian, Cyganów, a przede wszystkim Polaków. Wychodził z założenia, że mały handel nie popłaca, że tylko obrót poważną gotówką może mu przynieść solidny dochód „pozwalający stać się rekinem finansowym podziemia gospodarczego, a co za tym idzie, partnerem dla tych z Zachodu.

Wacław Niski został wysłany na 3 lata przez lubelską redakcję „Sztandaru Ludu”, by w NRD nauczył się trudnej sztuki drukarskiej. Rozpoczął pracę w „Neues Deutschland” z płacą 950 marek. Od razu poczuł się niezależny. Zaczął więc popijać, sprządzać do pokoju dziewczyny, nierzadko poszukiwane przez policję, potem zajął się prze-

mytem obcych walut do Polski i z Polski. Oczywiście żadne dochodzenia nie ujawniały faktycznych sum, które przeszły przez jego ręce.

Misternie spreparowany system przerzutów zawiązał. I to od razu. Wiadomość otrzymana od Jakubowskiego nie wiele wyjaśniała. Bo co to znaczy, że sprawy się komplikują? W Paryżu denerwowano się więc coraz bardziej. Gerard Vincent i jego przyjaciółka, Simone Heriot, gubili się w domysłach, co stało się z ich współnikami. Może zabrali pieniądze i więcej się nie pokażą? Jakiś nie przychodził im do głowy by na Wschodzie służył bezpieczeństwu działający sprawnie niż policja francuska, czy nawet Interpol. Liczyli na naiwność nabywców i ślepotę organów ścigania. Obliczając skromnie, za 1 fałszywego dolara miał Gerard Vincent otrzymać 5 franków francuskich, czyli razem około 75 tysięcy. Gra się opłacała, nawet gdy Jakubowskiemu i Zawadzkiemu da umowne 20 proc. od zysku.

— Nie możemy czekać — zadecydował. — Jedziemy do Polski. Jako

turyści, którzy chcą się rozejrzeć, czy nie da się w Warszawie otworzyć restauracji z kuchnią francuską. To nie jest zabronione.

Zie przezczucia miała tylko Simone, ale Gerard nie zwracał na nie uwagi.

O świcie wyruszyli w kierunku granicy. Do Łodzi dotarli o ósmej wieczorem, a przed północą Gerard Vincent został zatrzymany.

LISTY Z ARESZTU.

Pisał je często. Do Simone, do ambasady francuskiej w Warszawie, do swojego adwokata. Ich lektura stanowi przyczynkę do poznania człowieka, który pomylił się w obliczeniach. Katastrofa bardziej go zaskoczyła, niż przerażała. Dopiero później zdał sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazł. A już najbardziej nie mógł pojąć, że wszystko odbyło się tak szybko. Pisał: „Moja miłośni! Niepotrzebne jest, abym ci mówił w jakim stanie się znajduję. Nie dociera jeszcze do mnie to, co mi się przydarzyło. Doprawdy nie nie rozumiem. Byłem szczęśliwy, dowiadując się, że ty jesteś wolna. Doprawdy nie jest zabronione mówić tego, co u

Nie, nie zazdroścę inżynierom, zwłaszcza tym, którym przyjdzie pracować za lat kilka lub kilkanaście i których opinia publiczna postawi w stan oskarżenia za obrócenie zdobytych technik przeciwko człowiekowi. Niestety, nie można już dłużej ukrywać, że zafascynowani maszynami technicy nie przewidzieli, a może nie byli w stanie przewidzieć, że każde nowe rozwiązanie techniczne pociągnie za sobą cały łańcuch nieprzewidywanych skutków, które często niweczą te pierwsze pożądane efekty.

Prof. Tadeusz Galkowski, architekt z Politechniki Gliwickiej, mówi o tym paradoksalnym zjawisku naszych czasów jasno i zwięźle: „Jedni inżynierowie zdecydowanie psują środowisko, kunsztownie podcinając gałąź, na której siedzą i spokojnie obserwują, jak to samo czynią ich koledzy, podobnie jak oni działający w imię dobra człowieka. Inni natomiast usiłują się specjalizować w naprawianiu tego środowiska. Antynomia między tymi, co PSUJĄ a tymi co NAPRAWIAJĄ jest tym bardziej zadziwiająca, że występuje w skali całego świata. Z całą powagą powoływane są więc specjalności w zakresie inżynierii środowiska, ekologii do naprawiania szkód spowodowanych nie przez żywioł, lecz przez świadomą przeciwną działalność człowieka”.

Technicy niszczyli światła dają się nam coraz bardziej we znaki, a niekiedy można mieć nawet wrażenie, iż stworzyli tamę przez którą rwącym nurtem wylewa się gwałtownie rzeka wynalazków i rozwiązań technicznych, których oni sami nie są w stanie zatrzymać. Nowe wynalazki rozprzestrzeniają się coraz szybciej. Tak samo jednak płynie czas biologiczny potrzebny człowiekowi na przystosowanie się do tych nowości. Nie przeżyjemy natury. Już dziś na bombardujące nas ze wszystkich stron wytwory cywilizacji odpowiadamy utratą równowagi psychicznej, skomplikowanymi, nie występującymi dawniej chorobami, trudnościami adaptacji w społeczeństwie.

Doc. dr hab. Józef Bańka, dyrektor Instytutu Filozofii Uniwersytetu Śląskiego, który rozwija na rodzimym gruncie filozofię techniki i polemizuje z Tofflerem, twierdzi, że wszystkie dyskusje na temat skutków ekspansji techniki dotyczą w istocie rzeczy granic odporności człowieka i umiejętności dostosowania się do nowych warunków. Czy postawienie tamy rozwojowi nauki i techniki byłoby w stanie tę adaptację ułatwić? To najprostsze z pozoru rozwiązanie niechaj nie kusi nas łatwością rozwiązywania sytuacji, której skutki szybko obróciłyby się znowu przeciwko znękanym mieszkańcom Ziemi.

Cóż, więc pozostaje? Bicie na alarm od najmniejszej organizacji naukowej lub społecznej poczynając, a na ONZ kończąc. Dzwony trwogi można usłyszeć coraz częściej, bo czymże

innym jest na przykład raport Klubu Rzymskiego, raport sekretarza generalnego ONZ „Człowiek i jego środowisko”, słynny „Szok przyszłości” A. Tofflera, czy nasze rodzime próby ochrony środowiska? Na alarm uderzają też sami technicy, przerażeni skutkami swej działalności. Zrozumieli oni bowiem potrzebę spójności na technice poprzez pryzmat wartości humanistycznych. Humanisci zaś zgodnym chórem domagają się humanizacji techniki i zawodu inżyniera.

Czy jednak nie zbyt pochopnie obwiniamy inżynierów, zarzucając im brak umiejętności całościowego spojrzenia na zagadnienia techniki i człowieka. A gdzie inżynierowie wykształceni w Polsce Ludowej mieli się owego kompleksowego spojrzenia nauczyć, skoro częstotliwość reform studiów w uczelniach technicznych doprowadziła ich nieomal do perfekcji. W pierwszych latach po wojnie obowiązywały jednolite studia magisterskie. W latach pięćdziesiątych wprowadzono podział na studia magisterskie i zawodowe, później znowu je ujednolicono, aby ponownie oddzielić studia zawodowe od magisterskich. Od 1978 roku studenci kończą jednolite studia magisterskie, które skrócono do 4 i pół lat na wszystkich kierunkach politechniki.

Kolejna reforma studiów technicznych zmierzala do zapewnienia inżynierom solidnej ogólnej wiedzy fachowej (m.in. zredukowano 156 specjalności do 82). Podstawowe przedmioty ścisłe, jak matematyka, fizyka i chemia zajmują w tych programach 28 procent. Przedmioty techniczne — od 40 do 50 proc. Specjalistyczne — od 15 do 20 proc. Społeczno-polityczne — 8 procent. Zwiększono liczbę godzin na naukę języków obcych, a ponadto na każdym semestrze wprowadzono obowiązkowo zajęcia z elektro- i techniki obliczeniowej, organizacji i zarządzania oraz nauki o pracy, która obejmuje elementy socjologii, psychologii i ergonomii.

Zdawać by się mogło, że jest to program maksimum. Niemniej wydaje się, że zbyt mało miejsca poświęcono w programach zajęć przedmiotom podstawowym, bez których inżynier przyszłości nie zrobi kroku naprzód. Już dziś inżynierowie, którzy kończyli studia kilkanaście lub kilka lat temu, mają trudności z czytaniem literatury fachowej, z rozwiązywaniem problemów matematyczno-technicznych. Na własnej skórze odczuwają skutki nauczania lub lepiej niedouczenia z matematyki i fizyki w szkołach średnich i w uczelniach. (Jest to typowy przykład rezultatów oddziaływania błędnej polityki oświatowej przez długie lata). Inżynierowie mogą co prawda korzystać z kursów Akademii Nauk i uzupełniać swą wiedzę z zastosowań matematyki. Wszystko to jednak stanowi przystawki do kropli w morzu wobec różnorodnych potrzeb matematycznych inżynierów. Nie mówiąc już o tym, iż jest to forma koszt-

owna. Porównanie naszych programów z przeprowadzonymi przed kilku laty badaniami Stowarzyszenia Inżynierów Mechaników RFN wykazuje, iż inżynierowie w tym kraju dysponują wiedzą złożoną w 25 proc. z wiadomości matematyczno-przyrodniczych, w 50 proc. z nauk technicznych i w 25 proc. z nauk społeczno-politycznych. Na dobre przygotowanie z nauk podstawowych zwraca też zawsze uwagę niestrudzony propagator nowoczesnego kształcenia inżynierów, prof. Janusz Tymowski. W następnej

tytuł nazwiskami naukowców. Politechnika Łódzka nie znalazła się wśród grona eksperymentujących uczelni, niemniej w takim mieście jak Łódź nie brak studentom okazji do poszerzenia humanistycznej kultury. Mogą oni uczestniczyć w różnorodnych zajęciach oferowanych im przez studenckie ruch kulturalny, jak również korzystać z tego, co oferują teatry zawodowe, kina czy muzea.

Sposobów humanizacji studiów technicznych poszukuje się nie tylko w naszym kraju. W 1975 roku UNESCO rozesało do uczelni w ZSRR, USA, Francji, Japonii, Anglii, Szwecji, RFN ankiety z propozycjami poszerzenia programów studiów o takie przedmioty jak antropologia, etnografia, ekonomia, historia, prawo, nauki polityczne, psychologia, socjologia i administracja publiczna. Ku powszechnemu zdumieniu twórców ankiety większość uczelni nie tylko nie zredukowała tej listy, ale poszerzyła ją o nowe przedmioty. Z pewnością polscy wykładowcy i studenci opowiedzieli się za podobnym programem w uczelniach technicznych. Jednakże w sytuacji, kiedy nasi studenci nie chodzą na wykłady z braku czasu (w uczelniach zagranicznych liczba obowiązkowych zajęć jest mniejsza przeciętnie o 10 godzin tygodniowo w porównaniu z polskimi), humanizacja studiów nie znalazłaby realnego pokrycia w rzeczywistości.

Kształcenie inżynierów przyszłości można również rozpatrywać z innego punktu widzenia, np. pod kątem zaspokojenia niedostatków naszej techniki i ciągle jeszcze jej nie najwyższego poziomu. Zdaniem prof. dra Leona Rowińskiego z Politechniki Gliwickiej, nadal preferujemy w kształceniu inżynierów umiejętności projektowania i konstruowania kosztem problematyki technologiczno-organizacyjnej. Tymczasem upowszechnienie wiedzy technologicznej jest niezbędne nie tylko dla samej produkcji, ale dla dobra efektywnego projektowania. Innymi słowy, aby projektowanie wnosiło nowe, postępowe rozwiązania, musi być poprzedzone roznaniem studium, badawczym i doświadczalnym, a przy produkcji przemysłowej — doświadczalnymi seriami wyrobów. Druga grupa zagadnień dotyczy organizacji i zarządzania. W polskiej praktyce przemysłowej charakterystyczne jest, jak twierdzi prof. L. Rowiński, intuicyjne organizowanie złożonych procesów przemysłowych. W tym miejscu pióro rumieni się ze wstydu, albowiem dzieje się to w kraju, który chlubi się twórcą prakseologii. Poważne niedociągnięcia technologii doprowadzają do obniżenia jakości wyrobów, zwiększają ich materiałochłonność, kapitałochłonność i energochłonność. Przy właściwym poziomie technologii można by znacznie ograniczyć import wielu materiałów i części zamiennych. Ponadto słaby rozwój technologii i organizacji produkcji spowodował, iż zakupione licencje w początkach lat siedemdziesiątych nie zostały wykorzystane we właściwym stopniu i nie spełniły pokładanych w nich nadziei.

W Polsce inżynierowie nie mają jeszcze zawodowego kodeksu etycznego, który zwiększyłby ich odpowiedzialność za skutki technicznej działalności. W jednym ze światowych kodeksów tego typu inżynierowie tak piszą o sobie: „Inżynier jest dumny ze swego zawodu, ze swych kwalifikacji, z tego, co potrafi dokonać. Ujarzma on siły natury i każe im pracować dla poprawy doli człowieka. Jest dumny, gdyż umie wytwarzać rzeczy i zjawiska zdumiewające innych ludzi. Przede wszystkim jednak jest dumny z czegoś innego, nieproporcjonalnie większego. Jest dumny, gdyż pomaga ludziom, jest dumny z tych dobrych rzeczy, które czyni na świecie, dumny, gdyż celem jego działalności jest służba społeczna”.

Jeśli wierzyć statystyce, z badań przeprowadzonych kilka lat temu przez Instytut Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego oraz NOT, wśród kilku tysięcy absolwentów politechnik wynika, że aż 44,2 proc. inżynierów wykonywało prace niezgodną z charakterem ukończonych studiów, w której nie mogli wykorzystać posiadanej wiedzy. 24 proc. inżynierów chciało zmienić pracę, a 37 proc. nie widziało dla siebie możliwości awansu. Wzrastającą się uwagę w te dane, nie można podważać, iż polskim inżynierom obce jest poczucie zawodowej dumy. Niemniej wydaje się, iż silniejsze jest uczucie frustracji.

*) J. Bańka, Przeciw szokowi przyszłości, Wyd. Śląsk, Katowice 1977.

MAŁGORZATA GOLICKA

NIE

ZAZDROSCZĘ

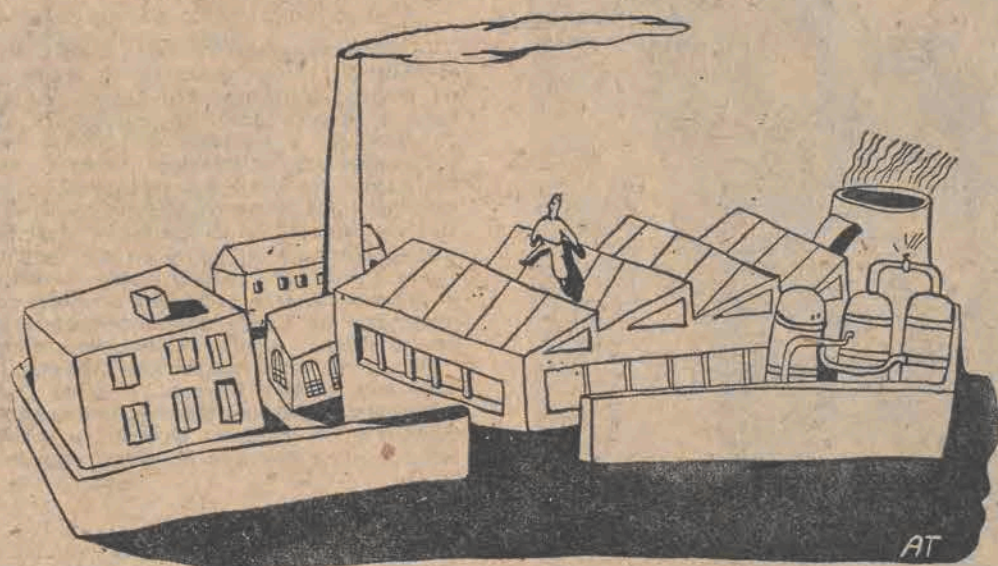
INŻYNIEROM

kolejności wymienianaj ogólną wiedzę techniczną, umiejętność wyławiania problemów i ich rozwiązywanie oraz zdolność do powiązania abstrakcji z konkretem.

Na przesunięcie proporcji w programach na korzyść nauk podstawowych uczelnie zachodnie mogą sobie pozwolić również i dzięki temu, iż studia kończą się tam na przedmiotach podstawowych i teoretycznych, a dalsza edukacja następuje w laboratoriach przemysłu, często o wiele lepiej wyposażonych od uczelniowych. U nas, mimo rozbudowanego systemu praktyk, kursowych, magisterskich, robotniczych, a nawet zajęć kół naukowych, do wyjątków należą sytuacje, w których student rzeczywiście korzysta w czasie pobytu w zakładzie. Zależy to przede wszystkim od dobrej woli i umiejętności pedagogicznych opiekuna praktyk, a nie od systemu, który by takie działanie uznawał za naturalne.

A jak wygląda w tym programie humanizacja studiów technicznych, o którą tak dopominają się naukowcy i dziennikarze na zorganizowanej niedawno sesji w Politechnice Gliwickiej. Zajęcia z organizacji i zarządzania oraz socjologii i ekonomii nie zaspokajają bynajmniej humanistycznych tęsknot studentów. A ankiety przeprowadzonej cztery lata temu na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej, studenci tego wydziału wymieniali na pierwszym miejscu zainteresowania humanistyczne. Daje to wiele do myślenia i napawa optymizmem, zwłaszcza w obliczu owej niszczącej świat techniki. Jednakże 360 studentów Wydziału Elektrycznego uznało, że napłety program studiów (36 godzin tygodniowo) nie pozostawia im czasu na pogłębianie tych zainteresowań. Politechnika Warszawska i Wrocławska, których studenci mają równie przeladowany tydzień, potrafiły umieścić w programie zajęcia fakultatywne ze sztuk plastycznych, powołać Studium Kultury Współczesnej oraz zachęcić do wysłuchiwania wykładów z dyscyplin humanistycznych świat-

NA ZAKŁADZIE



Rys. Andrzej Tylczyński

tym liście. Jednak myślę, że ten brzydki sen nie będzie trwał długo. Nasz polski sen umarł, może to i dobrze”.

„Panie Charge d'affaires! Myślę, że nie potrzebuję mówić Panu w jakim położeniu się znalazłem, a do tego nie znam języka, więc nie wiem o co chodzi. Proszę Pana, aby zechciał przyjechać mnie zobaczyć, że przedstawię moją prawdziwą sytuację...”

„Najdroższa! Wierzę, że ja także mam tego wypadku chciałbym zostać w Polsce i zacząć nowe życie...”

„Panie prokuratorze! Mój stan psychiczny pogarsza się z dnia na dzień. Nie ukrywam przed Panem, że nie wiem, czy wytrzymam do końca”.

„Najdroższa! Dużo się tutaj nauczyłem, więcej niż przez 40 lat życia we Francji”.

„Najdroższa! Z cichych sił pragnę, aby ten koszmar już się skończył, ale na razie kompletnie nic nie wiem poza tym, że kaucja daje mi możliwość wyjścia”.

DURA LEX, SED LEX.

Temida powoli obciąża obie sz-

le na wadze sprawiedliwości. Wyglądało na to, że szala „winy” przeważa. Ale oto pierwszy sukces obrońców: zostaje zwolniony Jan Wicher z braku dostatecznych dowodów popełnienia przestępstwa, również Wacław Niski opuszcza areszt na podstawie dekretu o amnestii, choć otrzymuje pouczenie, że jeśli popełni w ciągu 3 lat nowe umyślne przestępstwo, za które zostanie orzeczona kara pozbawienia wolności, albo jeżeli będzie uchylać się od wykonywania obowiązków wymierzonych w postanowieniu o zastosowaniu amnestii, postanowienie zostanie uchylone, a umorzone postępowanie będzie podjęte na nowo.

Przeciwko pozostałej trójce Prokuratura Wojewódzka w Łodzi sporządziła akty oskarżenia. Zapadły wyroki, od których odwołał się prokurator uważając, że są za niskie oraz oskarżenia, twierdząc, że są za wysokie. W ostateczności postanowiono zmienić Gerardowi Vincent pozostałą do odbycia karę pozbawienia wolności w rozmiarze ponad dwóch lat i dwóch miesięcy, na karę grzywny w kwocie 500.000 zł. W uzasadnieniu

Sąd Wojewódzki w Łodzi stwierdził, że jego (tj. Vincenta) sytuacja majątkowa w danej chwili jest tego rodzaju, że orzeczoną kwotę będzie on mógł uścić w zamian za pozostałą do odbycia karę pozbawienia wolności. Natomiast w sprawie André Jakubowskiego wypowiedział się Sąd Najwyższy, do którego odwołał się skazany. Warunkowo zawiesił mu wykonanie orzeczonej kary 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności na okres 4 lat, zaliczając na poczet orzeczonej kary grzywny okres tymczasowego aresztowania i zasadzając na rzecz Skarbu Państwa od oskarżonego tytułem opłaty za obie instancje 9.000 zł a także obciążając go kosztami postępowania rewidacyjnego. Sąd Najwyższy wyszedł bowiem z założenia, że André Jakubowski odegrał najmniejszą rolę w popełnieniu przestępstwa, a puszczenie w obieg jednego fałszywego banknotu miało charakter przypadkowy. Zresztą kara, jaka by ona nie była, na pewno spełni swoją rolę represyjno-wychowawczą.

Ostatni z oskarżonych w tym procesie Jerzy Zawadzki otrzymał łącz-

KANCJARZE

na karę 2 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 80 tys. zł. Nadto sąd orzekł przepadek wartości dewizowych, które stanowiły dowód rzeczowy w sprawie.

Na tym właściwie można byłoby zakończyć. Jednakże licząc się z tym że czytelnicy mogą uznać wyroki, na jakie zostali skazani Vincent i Jakubowski będący obywatelami francuskimi, za wysokie, przytoczę postanowienia prawa francuskiego dotyczące przestępstw tego typu. Otóż wg art. 132 podlega karze dożywotniego więzienia ten, kto podrabia monety złote lub srebrne, kto bierze udział w puszczaniu takich monet na

terytorium francuskim, albo wprowadza je na obszar państwa francuskiego. Gdy te same działania dokonane są w stosunku do bilonu (sądek, że dotyczy to pieniędzy papierowych także, gdyż przepis pochodzi z 1863 r. i odtąd nie uległ modyfikacji), sprawca podlega karze łagodniejszej, a mianowicie od 10 do 20 lat więzienia ciężkiego.

Tak więc obaj oskarżeni i skazani w Polsce wywinęli się tanim kosztem.

EUGENIUSZ IWANICKI

Wszystkie imiona i nazwiska zostały zmienione.

1.

— Był taki czas, kiedy w Łodzi kamień był niepopularny. Pyta pan, dlaczego? Wynika to z przeszłości tego miasta. Robotnicze domy budowano z cegły. Do fabrykancich pałaców przywiozono płyty marmurowe, z piaskowca czy nawet z granitu. Kamieniem ozdabiano pałace, a robotnicze czynszówki zadowolano się wapnem i cementem. Gdzie tu więc mógł narodzić się sentyment do kamienia. Marmury i granity darzono niechęcią, jeśli nie nienawiścią. A poza tym, długo tutaj nie budowano. Teraz wszystko zmieniło się.

2.

Urodził się w Poroninie. Do wojny ledwie zdążył skończyć szkołę powszechną. Całą wojnę przechodził z partyzantami na Podhalu. Jeszcze wojna nie skończyła się, wstąpił do wojska i pojechał w Bieszczady walczyć z bandami. W 1947 roku został zdemobilizowany. Właśnie wtedy doszło do jego spotkania z kamieniem.

Trzeba było się brać do pracy. Otworem stały Ziemię Zachodnią. Pojechał więc — jak to się wówczas mówiło — na Zachód. Do Świdnicy. W Świdnicy mieściło się zjednoczenie zajmujące się kierowaniem pracą przedsiębiorstw wydobywających kamień. Skierowano go do Złotoryi. Przed wiekami wydobywano tam złoto. Teraz było to miasto powiatowe. Obok kamieniołomów. W nich bazalt. A bazalt znakomicie nadaje się do budowy dróg. Kiedyś droga brukowana bazaltem uważana była za znakomitą. Dziś już drogę się nie brukuje. Wylewa się je asfaltem. Ale do asfaltu dodaje się mączki bazaltowej. Zaczął więc Witold Wójcikiewicz swoją karierę kamieniarską w Złotoryi od wydobywania bazaltu.

3.

Sporo mamy w Polsce kamienia. Przede wszystkim na południu Polski. A także w Górach Świętokrzyskich; w Kieleckiem, w Radomskim. Mamy kamieniołomy w województwach: wałbrzyskim, jeleniogórskim, wrocławskim, nowosądeckim, krakowskim, krosieńskim, tarnowskim, tarnobrzskim. Mamy piaskowce, marmury, granity, sienity. Sienit od granitu różni się tym, że ma bardzo mało albo wcale nie ma kwarcu.

Powszechnie znany i wysoko ceniony jest granit strzegomski, pochodzący z kamieniołomów w Strzegomiu, w województwie wałbrzyskim. Daje się on łatwo oddzielać od podłoża. Jest też podatny przy szlifowaniu i polerowaniu. Z granitu strzegomskiego zrobiono kolumnę Zygmunta w Warszawie. W Strzegomiu Witold Wójcikiewicz zamówił blok granitowy o rozmiarach 3,20 x 1 x 1 metrów pod parkową rzeźbę Leona Schillera, jaką ma stanąć w Łodzi.

Znane też są kamieniołomy w Szklarskiej Porębie. Granit z tych kamieniołomów użyto do dekoracji Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, MDM. Natomiast granit użyty do budowy cokołu pomnika Tadeusza Kościuszki w Łodzi pochodzi z Michałowic w Karkonoszach.

Budowniczości i architekci znają też dobrze piaskowiec szydlowiecki. Wydobyty z kamieniołomu jest miękki i daje się łatwo obrabiać. Później twardnieje i jest odporny na wietrze. Używa się go do ozdabiania domów. Podobny typ piaskowca wydobywa się też w kamieniołomach w Starachowicach, Wierzbniku, Wąchocku, Chmielowie, Gramadzie. Piaskowce wydobywa się też w Górach Słowych, w Złotoryi, w okolicach Bolesławca, Lwówka, Kudowy.

Marmury wydobywa się na Dolnym Śląsku i w Kieleckiem. W Stawnowicach koło Nysy są złoża gruboziarnistych marmurów białawych.

4.

— Powoli — opowiada Witold Wójcikiewicz — wracało uznanie dla kamienia. Zaczęło się w Łodzi coś budować. Przy Starym Rynku powstały pierwsze domy. Na Spornej budowano szpital i potrzebny był trwały kamień. Wrócono do budowy Teatru Wielkiego i wieżowca, w którym dziś mieści się telewizja. Budynki te przez kilka lat stały niedokończone, prace przetrwano, ale znów wracało się do nich i potrzebny był kamień.

No i przyszedł też dla Łodzi czas na pomniki. Odbudowano pomnik Tadeusza Kościuszki, wybudowano inne: Juliana Marchlewskiego, Juliana Tuwima, Stanisława Moniuszki, Czynu Rewolucyjnego i ostatnio — Władysława Reymonta. Przygotowujemy się też do prac przy monumentach Leona Schillera. Początkowo miało to być tylko popiersie, ale w dyskusji doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie zrobić rzeźbę parkową. Projekt przygotowuje Antoni Bilas.

5.

Ze Złotoryi, gdzie Witold Wójcikiewicz dorobił się stanowiska majstra, przeniósł się do Kielc. Kamień drogowy, twardy bazalt, przestał go już interesować. Robota okazała się ciekawa, ale monotonna. Kamień budowlany to było zupełnie coś innego. Robota też ciekawa i bardziej różnorodna. A poza tym trzeba było wziąć się za naukę. Szkoła powszechna skończona przed wojną, to było już stanowczo za mało. Ukończył więc technikum budowlane i nawet rozpoczął studia w AGH w Krakowie. Ale ich nie ukończył. Tak się złożyło.

Akurat Szydlowieckie Zakłady Kamienia Budowlanego otwierały oddział w Łodzi. Potrzebny był kierownik produkcji. Zakład był mały. Zaledwie 14 ludzi. Mieścił się przy ulicy Jerzego. Niedaleko jest cmentarz. Przed wojną, a i jakiś czas po wojnie, robiono tu głównie nagrobki. W Łodzi kamień jeszcze nie cieszył się popularnością. Był rok 1951.

6.

— Wtedy były w Polsce dwie szkoły kamieniarskie. Sclagatem do Łodzi absolwentów tych szkół. Coś się zaczęło dziać. Otrzymywaliśmy coraz więcej zamówień, ale to ciągle jeszcze nie były dobre lata. One miały dopiero nadejść. Był taki czas, kiedy to modna stała się deklamacja, że nasz zakład uznano za zbędny w Łodzi i szukano, gdzie go przenieść. Ale jakoś na

szczęście — nie dla nas — dla miasta, innego miejsca nie znaleziono i zostaliśmy.

7.

W 1956 roku Witold Wójcikiewicz został kierownikiem łódzkiego oddziału Szydlowieckich Zakładów Kamienia Budowlanego.

Szydlowiec jest niewielkim miastem położonym nad rzeką Korzeniówką. Leży on przy drodze E-7, 28 km od Radomia w stronę Kielc. Wydobywa się tu znane szydlowieckie piaskowce. Szydlowiecki kamieniołom oraz zakład obróbki należą razem z 12 innymi zakładami do kombinatu w Krakowie. Kombinatu podlega zjednoczeniu w Warszawie. Kiedy Witold Wójcikiewicz chce zwrócić się do warszawskiego zjednoczenia, musi najpierw zwrócić się do dyrektora w Szydlowcu, dyrektora w Szydlowcu przesyła jego pismo do Krakowa, a krakowski kombinat do zjednoczenia w Warszawie. Nim wróci odpowiedź, minie i pół roku, a czasem nawet więcej i sprawa staje się już nieaktualna. Na szczęście takich spraw jest mało.

8.

— Szefie, przepraszam, Szydlowiec drwoni w jakiejś pilnej sprawie.

— To proszę łączyć.

— Halo, Szydlowiec. Co się stało?

— ...

— Dobrze, wysłamy. A kamień dawajcie, jaki tylko macie, biorę wszystko. I tak będzie mało.

Istotnie, kamień stał się popularny i potrzebny. Siedzę w pokoju Witolda Wójcikiewicza, a w ciastym sekretariacie i wąskim korytarzu rośnie kolejka interesantów. Sekretarka dyskretnie daje znać, że już siedmiu interesantów czeka, a niektórzy przyszli całymi delegacjami. Robi się tłok. Łódź się buduje, remontuje i chce ładnie wyglądać. Stąd i taka popularność tego małego zakładu położonego przy ulicy Jerzego.

Znam ten pokój, w którym siedzimy, jak znam cały ten niewielki budynek. Tutaj, kiedy przed wieloma laty spaliła się drukarnia RSW „Prasa” przy ulicy Żwirki, schronienie znalazła jej uratowana część. W pokoju, w którym siedzimy, pracowali depešowcy „Dziennika Łódzkiego”. Przychodził tu do Stanisława Ciesionika, kiedy jeszcze był depešowcem w „Dzienniku Łódzkim”, a w czasie wakacji zastępował redaktora technicznego „Odgłosów”. Tutaj, na pięterko, przychodziłem do dalekopisów, kiedy byłem łódzkim korespondentem „Trybuny Ludu”. Dawne to czasy, a ile wspomnień. Na dole

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

STRUKTURA KAMIENIA



Pomnik Czynu Rewolucyjnego

Foto: R. Lucyszyn

stały linotypy, była zecernia. Pachniało farbą drukarską.

Teraz stoją tu maszyny kamieniarskie. Wróciły na swe dawne miejsce.

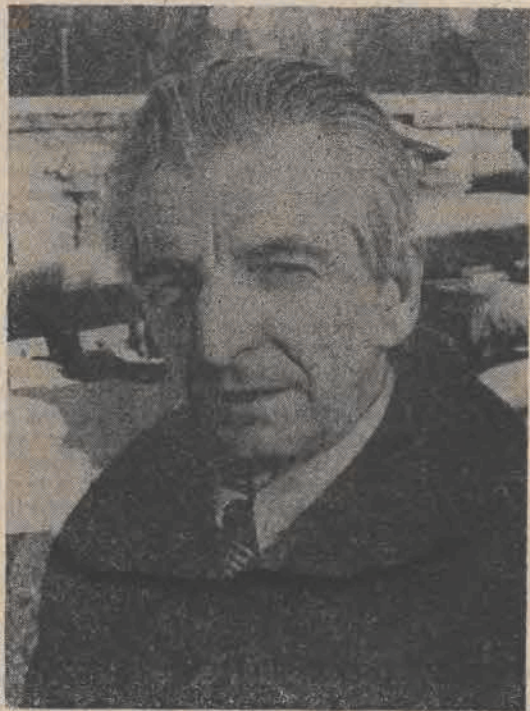
9.

— Widział pan kiedy Cyganów, jak tłuką kamienie przy drodze? Nie widział pan. To szkoda. Żeby kamień rozłupać, trzeba wiedzieć, jak i gdzie uderzyć. Oni wiedzieli, uczyli się tego od dziecka. Jeden może walić w kamień z całej siły, młotek złamie, dużo zegnije, iskry tylko będzie krzeszał, a kamień zostanie cały. A inny raz uderzy i kamień sam pęknie. Trzeba wiedzieć, gdzie, z której strony uderzyć.

Widzi pan ten blok. Proszę zobaczyć, u góry są ślady, jak wbijane były kliny. I kamień sam dalej pękł. Tak, taki ogromny, a odłupał się od podłoża jak kawałek drzewa. Bo kamień, jak drzewo, ma swoje słoje, tylko nie ala wszystkich widoczne. Trzeba się nauczyć struktury kamienia.

Gdzie tego uczą? Dawniej były szkoły kamieniarskie. Dziś nie ma. Uczymy tutaj. Pracuje tu teraz 70 ludzi. Mamy doświadczonych ekipy monterskie. Nasi ludzie pomagali przy montowaniu pomnika na Westerplatte, bo okazali się bardziej doświadczonymi kamieniarzami od gdańskich. Dostaliśmy też Wieżę Kazimierzowską w Zamku Warszawskim do wykończenia. Młodzi uczą się więc od starszych. Mamy tu doświadczonych, znakomitych kamieniarzy. Młodzi przychodzą najczęściej po zasadniczej szkole budowlanej, albo i bez szkoły. Trzeba ich zainteresować pracą, nauczyć kamienia, zachęcić. To praca po części artystyczna. Jak ktoś ma do tego smykałkę, albo jak się rozmakuje w kamieniu, to zostanie, a jak nie, to musi odejść. I odchodzą. Fluktuacja jest u nas wysoka, ale nie ma na to rady. Tu trzeba nie tylko nauczyć się zarobku, ale i mieć zamiłowanie do takiej pracy.

Pyta pan, co to są ekipy monterskie? Jak się kamień montuje? My tutaj w zakładzie przetwarzamy do 4 tysięcy metrów kwadratowych kamienia. To są płyty, bloki. A montujemy do 30 tysięcy metrów kwadratowych. Wszystkiego tu zrobić nie można. Przeciera się na przykład płyty granitowe, szlifuje, a później zakłada się je jako wykładzinę na posadzkach, na ścianach. To samo z piaskowcem. Ale otrzymujemy też gotowe płyty, które tylko wykańczamy i montujemy. Niekiedy nawet cokoły dla pomnika robi się z betonowego trzonu, który okłada się płytami kamiennymi. Wtedy trzeba je montować.



WITOLD WOJCIKIEWICZ: „Na szczęście — nie dla nas — dla miasta, innego miejsca nie znaleziono i zostaliśmy”
Foto: L. Włodkowski

Tak robiliśmy przy cokołe pomnika Tadeusza Kościuszki na placu Wolności w Łodzi.

10.

I nagle okazało się, że granity, piaskowce i marmury są kamieniem deficytowym. Niby mamy w Polsce kamienia pod dostatkiem, a kamienia brakuje. Dzieje się tak dlatego, że nie produkuje się w Polsce maszyn do obrabiania kamienia. Te maszyny kupuje się za granicą. A z kupowaniem maszyn, wiadomo jak jest. Potrzeb jest więcej niż pieniędzy. Mamy więc dużo kamienia, ale mało możliwości przygotowania go dla budownictwa. A tu budownictwo rozwija się, zapotrzebowanie na kamień rośnie. W Łodzi też.

Pracowali więc przy wykończaniu budynku „Textilimpexu”, „Skórimpexu” hotelu „Centrum”, przejeżdżających w Łodzi i Poznaniu przy ozdobianiu „Przanieczki” w Arturówku i sanatoriów w Ciechocinku, kładli posadzki na Dworcu Łódź-Fabryczna, a teraz pracują przy odnawianiu Muzeum Miasta Łodzi w dawnym placu Poznańskim.

Jest co robić. W tej kolejce, co czeka przed niewielkim pokojem Witolda Wójcikiewicza, też przyszli z zamówieniami. Czy każdy z nich swoje załatwił? Trudno powiedzieć, bo kamień stał się deficytowy. Władze miasta starają się kontrolować zużycie kamienia podobnego na łódzkich budowach. A tu modernizuje się sklepy remontuje się stare. Buduje się nowe. I kamień staje się coraz bardziej potrzebny. Nawet z Urzędu Miasta dzwonili, że dom przy ulicy Piotrkowskiej 104 będzie remontowany i też potrzebują kamienia. Ale Witold Wójcikiewicz powiedział, że muszą to sami u siebie wyjaśnić, bo takiego zadania na ten rok nie ma.

11.

— Widzi pan, kamień jest drogi, bo jego obróbka jest droga, maszyny są drogie. Ale to się opłaca. Kamień szybko amortyzuje się. Iu ludzi chodzi co dzień po posadzkach Dworca Fabrycznego, a posadzki nieruchome. Przejście podziemne przy Kilińskiego zawsze powinno być czyste, bo wystarczy tylko wodą z hydrantu polać i już jest wszystko zmyte. Granit znakomicie nadaje się na posadzkę, jest niezniszczalny. Marmur jest dobry do dekoracji wnętrz. Teraz z marmuru robimy słupki do balustrady w Muzeum Miasta Łodzi. Na zewnątrz marmur nie nadaje się. Często zmiany temperatury, wyższy w dzień i niskie w nocy, kruszą marmur.

Tak, teraz kamienie szybciej niszczeją. Ile wieków stał ateński Akropol, a teraz trzeba go gwałtownie ratować. Spaliny, zanieczyszczenie powietrza, to wszystko wpływa nie na kamień. Niszczy go. Piaskowce czernieją, brzydą.

12.

Z pozoru mogłoby się wydawać, że podstawowym narzędziem pracy kamieniarza jest dłuto i młotek. Nie podobnego. Kamieniarze posługują się maszynami. Nawet pełnik dający płomień o wysokiej temperaturze nie jest im obcy. Takim palnikiem odpala się od podłoża blicki kamienne. Płomień wypala edne składniki kamienia, inne kruszą się same.

Pila z diamentowymi nakładkami tnie kamień jak nóż masło. Maszyną kamień szlifuje się, gładzi, poleruje. Olbrzymi blok granitu do polowy „pocięty” na płyty. Szerokie stalowe pasy wyrzynają się w granit. Posypuje się je niebywale twardym piaskiem stalowym, sprowadzanym z zagranicy. Ten oasek trze granit na miazgę i odcina poszczególne płyty od siebie. Potem je trzeba oszlifować, wypolerować.

13.

— Tak, powiedziałem, że jest to po części praca artystyczna. Jeśli nawet pomnik będzie rzeźbiarz, to kamieniarz musi odpowiedni blok wybrać, przygotować, obrócić go z grubszą. Byłem już w Strzegomiu, aby wybrać blok pod pomnik Leona Schillera. Jeszcze raz będę musiał tam pojechać, aby wszystko dokładnie obejrzeć. Sam też trochę projektuję, przy współpracy plastyków, architektów. Od kamieniarza wiele zależy. Na przykład posadzka. Architekt ją planuje, ale my musimy dobrać kamienie, ich kolorystykę, dopasować do założen projektanta. Czasem trzeba projektantowi też coś doradzić. Szczególnie młodym projektantom. Na uczelni niewiele dowiedzieli się o kamieniu. A wiedza o kamieniu jest rozległa, nie można opierać się tylko na teorii, trzeba mieć praktykę, trzeba polubić kamień i pracę z kamieniem. A jest to praca bardzo ciekawa. O każdym kamieniu można powiedzieć wiele, trzeba tylko znać i rozumieć jego strukturę.

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

CO SIĘ NIE STAŁO

co się nie stało a stać się mogło
jest tak samo
jak to co z bólem i krzykiem
w człowieka co dzień wbiega

a jest to rozpacz która nie ma rzeczy
a jest to pragnienie pełne wody
a jest to ból zmartwiałego ciała
i jest to myśl która nie znalazła słowa

to tak samo się kruszy i rozpada
jest przedmiotem i tobą
słowem i literą

rozpada się
ciałem pełnym bólu
rozpacza która krzyczy z ciebie
myślą która pełnią się zadławia

i rodzi nową śmierć
której nie ogarnie już nawet
puste głuche
oniemienie

jak cicho płynie w morzu ryba
jak cicho cień pomyka za nią
jak cicho ginie zdobywcę w dybach

ostrych zębów szybkiego napastnika
podwodnego zimnego rozbójnika
którego goni inny cień

jak cicho pyta ryba rybę
jak cicho jest łuskowatych szept
jak cicho ginie odpowiedź na dzień

wodorostów lekkopiennym lesie
pochylonym w dygu i przestrachu
gdy przeszły tuż nad nimi sieci

MAREK BRASZCZYŃSKI

KOŁYSANKA O TRADYCJI

Czasami przychodzi młody romantyk
i krzyczy że wiosna dla dziewcząt
restauracja dla spóźnionych
a poeci dla wódki

Czasami Lechoń zamyka mnie w pokoju
gdzie tylko fortepian
i okno na czwartym horyzoncie
otwarte upałem

Teraz przyszedł cudzoziemiec Georg Trakl
w płaszczu ciężkim od mżawki który pachnie apteką
Kłosek otwiera bagnetem
okienne z wyrzniętymi sercami
a on sypie na szalki wagi
szare zło i białe zło

I płoną małe ogniska
na czarnej poduszce włosów

Wtedy trzeba się obudzić
i koniecznie opowiedzieć komuś ten sen
w zupełnie innej wersji

KOŁYSANKA

Śpij synku
Śpij już —
Nie rozbijaj szyby
żeby dotknąć gwiazdę

Zaśnij
Kiedyś na pewno pojedziesz
do Werony —
Rozgrzebiemy groby
I zagramy w kości

MAREK BRYMORA

ODA DO KUCHAREK

w obliczu ich wiedzy o przyrządzaniu kapuśniaku
biedną mądrości archimedesów i euklidesów
cóż z tego że nie czytają cortazara w oryginale
wiedzą za to ile trzeba soli do grochowej
i jak przytulić się szczerze do chłopca
ciałem tłustym jak poleć słoniny
i gorącym jak zdjęty z patelni schabowy
o córy bogów w kitlach przezroczystych
władczyni naszego istnienia
nie skazując nas na śmierć
przez wskazanie chochlą jak berlem
nie gaście ognia
pod kotłem naszego życia

PODWÓRZE

urodziłem się na podwórzu
niewielkiej przestrzeni wciśniętej w smutek
starych kamienie
obarczony wielką pajdą chleba ze smalcem
tutaj skutecznie uczyłem się życia
ja wybrańcu losu właściciel podwórka
z twarzą umorusaną uśmiechem
z wiecznie porożbijanymi kolanami
nie przezuwałem jeszcze dorosłości
nikt nam wtedy o niej nie mówił
ani stróż goniący za wybite piłką szyby
ani matka wciąż przypominająca o obiedzie
coraz mniej jest już starych podwórek
coraz mniej jest już prawdziwego szczęścia

JAROSŁAW BORSZEWICZ

MIŁOŚĆ

mała
jak zdobyty everest

śmieszna
jak faust w pępku przerażenia

bezradna
jak dyktator w minutę po koronacji

Gdziekolwiek ziemia jest snem,
tam trzeba dośnić do końca.
Tadeusz Borowski

gdziekolwiek Życie jest życiem
tam będziesz budził się w nocy
zegary — chodzą
lustra — lustrują

gdziekolwiek życie jest Życiem
tam będziesz codziennie umierał
i zmartwychwstał
codziennie

gdziekolwiek życie jest życiem
tam
nie dośnimy do śmierci



KRZYSZTOF OSTASZEWSKI

OPUS 142

Pewien wielki uczony skon-
struował przyrząd do zabija-
nia ludzi o niebieskich oczach.
Był to aparat działający zgod-
nie z wszelkimi znanymi pra-
wami natury. Uczony wyko-
rzystał w nim osiągnięcia
współczesnej nauki i techniki.
Bezbledny system wynajdywa-
nia i likwidowania ludzi o
niebieskich oczach był fascy-
nujący. Harmonia tego mecha-
nizmu wydawała się urzeczy-
wistnieniem marzeń ludzkości.
Na kongresie naukowym pe-
wien człowiek zapytał uczone-
go, czemu właściwie służy je-

go wspaniały przyrząd i czy
nie należałoby pamiętać, że
nawet mając niebieskie oczy
można być człowiekiem.

Oczywiście okazało się, że
pytający był gościem przypad-
kowo przybyłym na kongres,
do tego zupełnym dyletantem.
Nie mógł się więc wypowia-
dać w sprawie tak wspaniale
funkcjonującego mechanizmu.
Jego pytanie było po prostu
niezgodne z prawami nauki i
zle sformułowane.

A jego oczy były brązowe,
na szczęście.

OPUS 106

Bódziuświś śpi gdzieś dale-
ko, w małej chatce. Nie, on
nawet nie śpi, chyba tam mie-
szka. Jest zamyślony. Bódziuś-
wiś nie mieszka w chatce, on
po prostu istnieje w nieokre-
ślonym miejscu, tak jakby go
nie było. I jest, widzi i słyszy
tylko tyle, ile sam potrafi
stworzyć. Ten jego świat jest
światem, w który uwierzył —
dlatego nie potrafi się z niego
wydostać. Jest niewolnikiem
własnego snu, lecz jest też je-
go twórcą. Wielu spośród rze-
czy, które widzi, nauczone go.
On sam przecież nie wymy-

śliłby aż tak skomplikowanej
rzeczywistości. Lecz pamiętaj-
my, że opis Bódziuświśa jest
tylko uproszczeniem najbar-
dziej niezwykłych zjawisk, z
jakimi przyjdzie nam się spo-
tkać. A on już jest bardzo
daleko od swoich pałaców, o-
grodów. On ucieka, za bramą
jawy czeka go zagłada. Nawet
jeśli Bódziuświś opamięta się,
zrozumie własną, tworzącą i
niszczącą moc, to będzie po-
trafił unicestwić tylko siebie,
oczywiście przy pomocy wy-
myślonej rzeczywistości.

JACEK KRAKOWSKI

Z CYKLU: PIĘĆ SONETÓW ANTYCZNYCH

I

Nie, którą czarnym włosem wysnuwa w wrzeczona
wróżka wiecznej legendy, strącona w labirynt,
kształtem wiernym literom zawiąże nas linach
zdań zaplecionych w bice zwinięte u kolan,
i kiedy się nachyła niecierpliwa krtanią
drżący w sznurach strun gardia na głos, nim odgadnę
splątany węzeł słowa, dłoni abecadłem
wypale znak wolności papierem na czołach.
Brzegiem wody i ziemi, ognia i powietrza,
unosząc pianę syren zadławionych śpiewem
tam, gdzie nigdy niczego nikt na zawsze nie ma,
tylko mroczni żeglarze rozpięci wśród siecl
swoją ostatni rękopis rzucają za siebie
na szczęście, na ratunek, za morze, w poemat.

V

Wtedy, gdy kształt odbiega i łuszczy się kolor
niewyraźnym nazwaniem w pół rzeczy zjawienia,
kiedy krwiobiegami nocy ciemność nas oblega
wynurzając kark łodzi zachłystniętej wodą,
w czas wiersza nieobecni celem ni przyczyna,
oślepieni wirami błędnych światel, nurtem
podziemnej rzeki tętna dryfują wsluchani
w belkot topielców dmiących w zakręcone muszle.
Czyżby ktoś znowu odgadł inne pierwsze słowo
i lepiąc z mokrej gliny wyraz po wyrazie
składał światło do światła na wieczne odbicie,
czy już nikt... I tylko wrzosowiska płoną
dalekich pól, gdy wszyscy zasiadamy razem
u grobowca arkadii ze startym napisem.

ZBIGNIEW DOMINIAK

ADRES

Malpi figiel
Zegar kolor dzienny
André Breton, Philipp Soupault
(tłum. A. Ważyk)

DOM Przejeżdżam autobusem przez dom Oto
Surrealizm dopędza mnie po sześćdziesięciu latach
W mieście w którym istnieje tylko teraźniejszość
Moi protoplaści wprowadzają się do domu (D.O.M.
Deo Optimo Maximo a może tylko Dziecko Ojciec
Matka) Breton i Soupault piszą Les Champs magnétiques
Przejeżdżam autobusem przez mój surrealny dom Rodzę się
Na wysokości trzeciego piętra ponad autobusem W błonie
Płodowej wyfruwam spodzieży matki nóg jak z gniazda kawki
Czy potrafię umrzeć ponad pedzącym autobusem W łózku
Z powietrza W gnieździe nicości Na trasie Zachód-Wschód

Z CZYM

Wkraczam w lepsze dzisiaj Z powieścią otwierają Wrażliwym
kineskopem nadającym jeszcze optymistyczne obrazy snu
Z klepsydry paznokcia Śladem po ziemi wczorajszego dnia
Z żarzącym się papierosem nadziei Fajką spokoju Z obolem
brzucha wiążącego mnie z innymi i nie mniej obolałym sercem
które przestało wiązać mnie z innym Z sentencją sprzed

zaśniecia
której sensu zapominałem a przecież powróci Dopadnie
w miejscu
dokąd poniosą mnie nogi Powiozają tramwaje Gdzie przesiadają
krzesła

KRYSZYNA KWIATKOWSKA

KANAŁ

Andrzejowi Waldzie

Mój ojciec zna każdy
kamień tej wojny i każdego
szeregowca, tak jakby
całą Polskę znał osobiście,
czyli zbyt dobrze.
Nie umiem pisać na sztandarze.
Frazę wiersza wyznacza kartka.
Bo przecież nie
o Polskę chodzi, ale o to, żeby
można było sobie spojrzeć w oczy.

IKAR

Tylko pamiętaj, nie lataj zbyt nisko, bo tu są dźwigi
i wieże kościelów.
Rozsądek, który jeszcze pytał.
I początki jakiejś lepszej wiedzy: idź.

Lot jest metaforą pożądania — ziewa Kusy.
Kusy niekiedy bywa poeta.

W zjeźonej ciszy, w centrum nocy Jesteś wschodem, zachodem,
północą i południem, jesteś jedyną stroną świata.
Niech jeden dla drugiego znaczy właśnie tyle albo
niech obaj przepadną

i tak wysoko, że dochodzi już tylko dźwięk skrzypiec

KRYSZYNA BOGUCA-PANUSZ

Jesteśmy tacy bezradni
w tej swojej wolności
ani się dotknąć
ani się ocalić

Tacy bezradni dla swojej miłości
i jakże sobie cicho doskonale

WOŁAM

Wołam cię
abyś podniósł moją głowę
spotężniał bólem
Wołam cię

Noc opadła na moje barki
ciężarem słów na papierze
Chylę się ku ziemi
kiedy niebiosa tak blisko

Wołam cię
abyś rękę moją ku górze unioś
Póki jeszcze czas

— Szerokim echem odbiła się w minionym roku w Łodzi sprawa wykorzystywania szlaku „Domu Środowisk Twórczych” dla działalności mającej niewiele wspólnego ze statutowymi założeniami i celami Stowarzyszenia.

Przypomnę, że w ujawnieniu złych praktyk w DST istotną rolę odegrała analiza nadużyć i afer w działalności imprezowej tej placówki, przeprowadzona na naszych łamach przez Jerzego Katarasinskiego („Pod szyldem”, ODGŁOSY nr 15/79). Dzisiaj — w początkach nowego roku, gdy Stowarzyszenie znajduje się już po walnym zebraniu członków, na którym przedyskutowano i przyjęto program działalności zaproponowany przez nowy Zarząd, jest — jak się wydaje — czas na spokojną rozmowę na temat możliwości, form i perspektyw pracy „Domu Środowisk Twórczych”.

— Nasza rozmowa będzie oczywiście spokojna, co wcale nie znaczy by ostatnie miesiące — od czwercowego Walnego Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego do Walnego Zebrania w styczniu 1980 roku — były spokojnym okresem w historii i pracach Stowarzyszenia. Czerwcowe zgromadzenie postawiło przed nowo wybranym Zarządem bardzo konkretne zadanie: przygotowanie w ciągu pół roku warunków do zasadniczej reorientacji w działalności Domu Środowisk Twórczych, do przeobrażenia go z czegoś w rodzaju biura organizacji imprez — w placówkę odgrywającą ważną rolę w życiu kulturalnym Łodzi.

— Nie było to chyba zadanie łatwe, zwłaszcza, że to samo Walne Zgromadzenie nałożyło także na nowy Zarząd obowiązek wyeliminowania obliczonej na zysk działalności estradowej „w terenie”, a ta, co nie jest żadną tajemnicą, pozwalała przecież w poprzednim okresie na prowadzenie działań bardziej ambitnych i na utrzymanie DST przy życiu. Na jakich finansowych podstawach oprze się więc DST w przyszłości, skoro rezygnuje z zarabiania „chalturami”?

— Dotknął pan sprawy, która przysporzyła nam najwięcej kłopotów i komplikacji. Początkowo mieliśmy nadzieję, że egzystencję Stowarzyszenia będzie można oprzeć na tej czy innej formie mecenatu łódzkich zakładów pracy, w zamian za pewne świadczenia na rzecz domów kultury, klubów i świetlic tych zakładów. Koncepcja ta zyskała aprobatę władz miejskich; jej realizacja okazała się jednak nie taka prosta. Rzecz w tym, iż po to by zakłady mogły wesprzeć Stowarzyszenie, konieczne były odpowiednie uchwały KSR, a projekty tych uchwał powinny być wniesione wcześniej, niż to byliśmy w stanie zaproponować. W efekcie w okolicach Nowego Roku perspektywy istnienia Stowarzyszenia były całkiem niewyraźne i gdyby nie inicjatywa władz partyjnych byłbyśmy w tegim kłopotcie. Ostatecznie jednak droga wyjścia z tego kłopotu została naszkicowana i zaaprobowana przez ostatnie Walne Zebranie, w styczniu 1980.

Nowa idea nie jest jeszcze sprecyzowana we wszystkich szczegółach, a mówiąc ogólnie polegać ona będzie na symbiozie czy koegzystencji Stowarzyszenia z Centrum Kultury Środowisk Twórczych, które ma powstać 1 kwietnia br.

— Jakże funkcje będzie spełniać ta nowa placówka?

— Przejdźmy ona do Stowarzyszenia kłopoty gospodarza obiektu, zapewni mu obsługę w zakresie administracji i księgowości, a jednocześnie stworzy warunki do realizacji programu pracy merytorycznej w obiekcie, przy al. Kościuszki 33 i poza nim. Takie zasady koegzystencji nie ograniczają działalności naszego Stowarzyszenia, a fakt, iż budynek przy al. Kościuszki będzie wykorzystywany dla działań kulturalnych przez cały tydzień, jest chyba zjawiskiem pozytywnym. Natomiast program Stowarzyszenia realizowany będzie w macierzystym obiekcie w ciągu dwóch dni tygodniowo.

— Rozumiem, że takie rozwiązanie można traktować jako etap przejściowy, i że Stowarzyszenie nie rezygnuje raz na zawsze z za-

biegów o pozyskanie mecenatu łódzkich zakładów pracy?

— Oczywiście, będziemy o ten mecenat zabiegać. Tym zresztą śmiejemy, że planujemy w bieżącym roku zorganizowanie kilku imprez, które chyba dowiodą, że działalność Stowarzyszenia może być pomocna dla pracy kulturalnej prowadzonej w domach kultury, klubach i świetlicach.

— Jak przedstawia się program merytorycznej pracy Stowarzyszenia?

— Planujemy jej rozwój w dwóch podsta-



...zastanawiamy się także, czy Stowarzyszenie nie powinno w niedalekiej przyszłości stać się fundatorem dorocznych nagród za najciekawsze osiągnięcia twórcze.

Foto: R. Łucyszyn

wowych kierunkach: w nurcie imprez popularnych najlepszych osiągnięć łódzkich twórców, a realizowanych w domach kultury, klubach i świetlicach oraz w nurcie imprez ożywających ruch intelektualny w łódzkich środowiskach twórczych. Te ostatnie imprezy organizować będziemy zarówno w siedzibie Stowarzyszenia jak i we wspólnej siedzibie Stowarzyszenia i Centrum Kultury Środowisk Twórczych. Myślimy o stworzeniu w tej nowej siedzibie forum dla swobodnych i szczerych rozmów o jakości dokonań artystycznych łódzkiego środowiska.

— Nie miało ono jednak dotychczas szczęścia ani do takiego forum, ani też do dyskusji o jakości dzieł. Sami twórcy unikają publicznych ocen prac swoich kolegów, odczuwają się niedość autentycznych dyskusji, brak ostrzejszej krytyki, wyraźniejszych wartościowań...

— Ta sytuacja nie dotyczy chyba jednak tylko Łodzi, przecież na przykład quasi-spy krytyków na łamach wielu ogólnopolskich czasopism kulturalnych też nikogo w gruncie rzeczy nie interesują, poza nimi samymi. Mimo to jestem przekonany, że większość twórców jest spragniona poważniejszych dyskusji na temat tego co robią. Trudno także nie dostrzec niebezpieczeństwa, jakie dla popularności kultury niesie brak sporów o wartości. Aktywność kulturalna nie może istnieć bez wartościowania, bez eliminacji. Nie każde dzieło zasługuje przecież w równym stopniu na aprobatę i popularyzację. Tymczasem tu i ówdzie zakorzeniły się mniemania, iż wszystko to co publikują wydawnictwa, prezentuje telewizja i film, musi być dobre i nie powinno budzić wątpliwości. Dlatego wydaje mi się, że

jest czas na rozmowy, które kształtować będą bardziej — że tak powiem — wybiórczy stosunek do dóbr kultury, wskazywać na potrzebę bardziej świadomych wyborów. Nie jest oczywiście rzeczą obojętną, które wartości będzie w rozmowach tych preferowali i lansowali. W Domu Środowisk Twórczych powinniśmy chyba przede wszystkim mówić o tych zjawiskach, które nie pozostają obojętne wobec rzeczywistości, pomagają lepiej ją zrozumieć. Jesteśmy świadkami — i uczestnikami — procesu stopniowego dochodzenia do pra-

DOM NIE TYLKO Z NAZWY

Rozmowa z EDWARDEM
SZUSTREM — prezesem
Stowarzyszenia „Dom
Środowisk Twórczych”

wdy o otaczającym nas świecie, o naszym „tu i teraz”, i o osiągnięciach na tej drodze, a także o pomyślach, chcemy mówić...

— Czy również dlatego, że wśród statutowych funkcji Stowarzyszenia znajduje się inspirowanie twórczości jego członków?

— Wyżej cenię działalność ożywianą przekonaniem o stymulowanej literaturze statutu. Zanim inspirowania twórczości trudno realizować, gdy się ma do czynienia z różnymi dyscyplinami sztuki. Podobne sformułowania występują w statutach poszczególnych związków twórczych, a wiemy przecież, że niełatwo jest je wcielić w życie. Po prostu nie może tu być jednolitej recepty; rozwój każdego artysty jest procesem jednostkowym, niepowtarzalnym.

Sądzę, że w Domu Środowisk Twórczych powinniśmy opierać każdą rozmowę na konkretności i to z reguły na konkretnie łódzkim. Zamierzam przy tym mówić o dziełach, a nie o autorach. Rozmowy o autorach bardzo łatwo ulegają naciskowi mniej lub bardziej kurtuazyjnego protokołu i przyjętych w danym środowisku konwenansów... Myślę, że jeżeli uda się nam wytworzyć taką atmosferę, która odbierze tym dyskusjom cechę urzędowości i oficjalności, to będzie można również liczyć na powodzenie wśród szerszego kręgu odbiorców. Z chwilą gdy twórca publikuje swoje dzieło, każdy odbiorca ma prawo do swobodnej jego oceny, bez oglądania się na to, czy autor również ma na nią ochotę. Chcemy w DST korzystać z tej zasady. Będziemy zabiegać o konfrontację odmiennych opinii, różnych punktów widzenia na tę samą sprawę.

— Czy w działalności DST będzie — jak

dotąd — miejsce dla poszukiwań z kręgu sztuki „czystej”, warsztatowej? Pytanie to dotyczy zwłaszcza twórczości plastycznej, w której takich poszukiwań jest bodaj najwięcej. Komunikatywność tych propozycji nie zawsze jest wyraźna. Z drugiej strony, Stowarzyszenie nie może chyba jednak zamykać drzwi przed tego typu eksperymentami, skoro — nie tylko z nazwy — chce być reprezentacją wszystkich środowisk twórczych?

— Działania takie pojawiały się na forum DST i pojawiać się będą nadal, acz w mniejszych proporcjach. Tak zwane „poszukiwania warsztatowe” są przecież elementem inspirującym do dyskusji w środowiskach twórczych. Nie sądzę jednak, abyśmy tę niezbyt komunikatywną twórczość lansowali w działalności „zewnątrz”.

Na marginesie muszę poczynić małe wyjaśnienie: nazwa „Dom Środowisk Twórczych” jest trochę myląca. Żadnych prerogatyw zwierzchnictwa nad jakimś środowiskiem twórczym DST nie posiada. Członkami Stowarzyszenia nie są zarządy związków twórczych, ale osoby fizyczne. Do DST mogą należeć ludzie z różnych środowisk twórczych, nie muszą jednak należeć wszyscy. Chociaż nie ma obowiązku należenia do DST, będziemy — rzecz jasna — zabiegać o rozszerzenie grona członków. Myślimy przede wszystkim o łódzkich humanistach, którzy mogliby ożywić nasze dyskusje. I tu może właśnie są potrzebne zmiany w statucie Stowarzyszenia. Zamierzamy również nawiązać bliższe i stałe kontakty z młodzieżą artystyczną. Bez nich działalność Stowarzyszenia pozbawiona będzie perspektyw...

— Na razie jednak młodzi twórcy, nie zrzeszeni w związkach, mało wiedzą o możliwościach DST...

— Wynika to zapewne również z faktu, że mimo dobrego położenia w centrum Łodzi budynek przy al. Kościuszki 33 ułożony był zazwyczaj bądź jedynie z restauracją SPATIF, bądź też z jakąś hermetyczną aktywnością klubową „dla wybranych”. Będziemy zatem jak najszersze informować i zachęcać do uczestnictwa w pracach DST. Mam cichą nadzieję, że jeśli w ciągu obecnego roku uda się nam zaszczepić w świadomości ludzi interesujących się kulturą, iż w poniedziałki odbywają się u nas ciekawe rozmowy o książkach, filmach, dziełach plastycznych — czy teatralnych rolach, to będzie już niemało.

Myśląc o sposobach podniesienia znaczenia DST, jako miejsca formowania opinii o jakości dzieł artystycznych powstających w łódzkim środowisku, zastanawiamy się także nad tym, czy Stowarzyszenie nie powinno w niedalekiej przyszłości stać się fundatorem dorocznych nagród za najciekawsze osiągnięcia twórcze. W ten sposób również moglibyśmy wyrazić swój sąd i wpłynąć na opinie. A myślę też, że taka forma uznania ze strony kolegów po fachu mogłaby mieć istotne znaczenie i dla samych twórców.

— Czy Dom Środowisk Twórczych zamierza również propagować dokonania łódzkich artystów poza Łodzią, w skali ogólnopolskiej?

— Chcemy — dwa razy w miesiącu — zapraszać do nas różnych interesujących ludzi spoza Łodzi. Chodzi nam o znawców rozmaitych dziedzin sztuki czy kultury, teoretyków lub praktyków. Myślę, że jeżeli stopniowo będziemy — wśród osób liczących się w opinio- twórczych środowiskach w kraju — wyrażać wrażenie, że jest w Łodzi środowisko, z którym można interesująco podyskutować, także o jego problemach, to będzie to nasz — chyba niebłahy — wkład w likwidowanie tych nieporozumień i fałszywych etykiet, jakie w ciągu lat narosły wokół kultury Łodzi...

— Zyczymy zatem sukcesów w realizacji tych wszystkich ambitnych zamierzeń. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
TOMASZ SOLDENHOFF

Dalszy ciąg ze str. 1

sezonowych „nieśmiertelnych”, w sposób arytmetycznie zgodny z aktualną wysokością ich kursów.

Ostatnim krykiem mody w dziedzinie prozy jest dziś pogląd innego warszawskiego krytyka — wyrokującego, iż cały dotychczasowy dorobek literatury należy, wraz z językiem i składnią rozwiniętych zdań, oddać na przemiał, zaś dalsze jej uprawianie powierzyć mistrzom slansu dzisiejszych „strasznych przechodniów”. Przy czym gwarancją powstania nowych arcydzieł ma być konieczność niefonetycznego nazwiska oraz większe z pierwszego pokolenia pochodzenie twórcy. Argumentem, który ma przemawiać za wyłączeniem istnienia takiej własności literatury, jest teza, że masy rekrutujące się z przedwojennych, czy zgola przedwojennych nizin społecznych, nie są zdolne aperepcować i tym bardziej przyjąć za swoją, twórczości wywodzącej się z tradycji literackiej. Teoretycy ów, bez względu na nobilitę, o ile wlem, wykształcenie, duchowo wywodzi się z tamtych anegdotycznych inteligentów studentów politechniki. Uporządkowana wiedza polonistyczna nauczycyła go bowiem, że od Kadłubka do piwcy „Panny Lilianki” co pokolenie zachodzi burzliwa demokratyzacja języka. Tyle że rewolucjonisci, mimo każdorazową zarumianłość (krytyk, o którym mowa, nie jest, jeśli chodzi o posiadanie tej cechy „Kolumbem”), raczej przynawali, że uwielbienie dla szarego przechodnia nie oznacza, by miał „stracić moc Achilles i Piast”.

Wydać mi się jednak, że w obliczu celebrowanej u nas praktyki kręgów, czy zamkniętych układów, nigdy nie za mało jest powtarzać, że poza nowościami „super-star” sezonu toczy się wielki, często gęsto nie mniej wartościowy nurt literatury nie zaszczytowanej uwagi naszej apriorycznej „politechnicznej” szkoły krytyki. Literatury skazywanej automatycznie na niespostrzeżenie i w przyszłości, jako że przypadki odkrycia przez późnych wnuków zdarzają się nie częściej, niż spotkania węża z Loch Ness z fotografami. Zesnobizowanie tej apriorycznej krytyki kreującej (zesnobizowanie, gdyż wspomniana hossa na powieści zapisu knajackich wynurzeń jest niczym innym tylko kolejnym przejawem snobizmu — zjawiskiem bliźniaczym do „odkrycia” i wprowadzenia do menu uczt rokokowych na króla Stasia kromek rakowca jako dernier cri), sprawia że proza, która zakłada przekazanie czytelnikowi treści społecznie ważkich i przydatnych, w tym dotyczących naszych tradycji narodowych — skazuje się automatycznie na egzystencję poza obrębem dostrzegania krytyków o podejściu studentów politechniki z profesorskiej anegdoty. Czytacz kilkunastu „sezonowych nieśmiertelnych” przeczytają bowiem kilkanaście — pierwszą raczej tylko wtedy, jeśli ukaże ona w poetyce fragrantnej czy to absurdalność istnienia, czy absurdalność prób, powiędzmy, wdrożenia życia w jakieś formy ładu organizacyjnego. Istnienie wszędzie chyba na świecie rozdziew między autentyczną popularnością pewnej ilczyby pisarzy, a ich

uznaniem przez krytykę „panującą” Olimpu — jest u nas szczególnie duży.

Nader wdzięcznych przykładów na to, o czym wyżej, dostarcza stan zainteresowania się krytyki polską prozą historyczną. Nie jest chyba odkryciem stwierdzenie, że spośród dzisiejszych pisarzy parających się ukazywaniem przeszłości, ceniony jest przez ową krytykę właściwie tylko Parnicki. Krafcowo elitarny i nie uznający jakichkolwiek serwitutów wobec czytelnika szukającego w dziełach również, jeśli nie przede wszystkim, odpowiedzi na postawione kiedyś przez Bełzę nie tylko, jak wiadomo, dzieciom pytanie: „kto ty jesteś?”. Parnicki przypatrujący się beznamiętnie dziełom jedynie jako zastawionej szachownicy, na której udolni bądź nieudolni gracze rozgrywają udolne, bądź nieudolne partie. Przerwanie milczenia, jakie do niedawna panowało wokół bogatej i rozległej twórczości Dobraczyńskiego, jest chyba, jak znam tamte gusty i życie, dyktowane nie nagłym rozszerzeniem wrażliwości estetycznej tych krytyków, lecz względami taktyczno-konfunkturalnymi. Powieści i opowieści Wańkowicza o ostatniej wojnie były i są traktowane z najwyższym szacunkiem przez setki tysięcy czytelników, lecz nie przez literackich arbitros elegantiarum. Powieści Hannu Malewskiego są za szczerem zapomniane przez tych i tamtych. „Ostatni pokój” Zalewskiego (o powstaniu styczniowym) będzie niewątpliwie oficjalnie zauważony, ponieważ autor nie wybył na dłużej z grona kilkunastu, których utwory dobry ton ka-

że czytać i o nich pisać.

Owa niechęć krytyki kreującej do brania pod uwagę książek spoza tamtych kilkunastu, o których wypada, bądź książek happeningujących, skazuje — przechodząc do konkretów — automatycznie na niezauważenie m. in. powieści trzech świetnych pisarzy specjalizujących się w dziełach polskiego średniowiecza — Stefana Kuczyńskiego, Zbigniewa Zielenki i Władysława Ogrodzińskiego.

dziesiętnego. Ci trzej niewątpliwie talent, wyobraźnię (pozwalającą na swobodne obracanie się również i w warstwie niezbadanej fikcji) i intuicję twórczą podporządkowują bynajmniej nie amatorskiej wiedzy historycznej. Wolni są jednak od powściągliwego grzechu powieści historycznej (zwłaszcza profesorskiej), jakim jest obdarzanie swych postaci świadomością człowieka dzisiejszego. Nie obarczają ich z tego powodu „wydwiekową” odpowiedzialnością za decyzje o co prawda skutkach dalekosiężnych i bezsprzecznie fatalnych, lecz których przewidzenie przekraczało granice możliwości ludzkich, o ile nie byli jasnowidzami. Myślę o Stefana Kuczyńskiego

„Litwinie i Andegawencie”, o Zbigniewa Zielenki „Orlach na sarkofagach”, „Kluczach ziemi” i ostatnio wydanych „Księgach Henrykowich”. A także o Władysława Ogrodzińskiego dylogi o Państwie Krzyżackim i Biskupstwie Warmińskim, a więc o „Proporcu z białym barankiem” i „Po święcie Rozesłania”.

Profesora Kuczyńskiego interesuje geneza i zadzierzgliwanie się (nie tak gładkie, jak wnosilo, dla przykładu, pokolenie mojej matki z „Wieczorów pod lipą” Lucjana Siemieńskiego) pierwszych warianów unii polsko-litewskiej. Zielenkę — pasjonuje proces formowania się polskiej myśli państwowej w okresie rozbięcia dzielnicowego i udziału w tym procesie, że ich tak nazwę po dzisiejszemu, działaczy z ziem śląskich. Dodajmy, że autor imponuje pedantyczną, benedyktyńską dokładnością w sieganiu po realia i najdrobniejsze rekwizyty epoki. Ogrodziński zwycięsko nie poddaje się rozumia- leż nado w kontekście niedawnych dzieł sugestii przedstawienia dramatycznych personae i całokształtu złożonych stosunków na styku: Korona, Litwa, Biskupstwo Warmiń-

SKAZANI

MUZYKA

Program ostatniego koncertu FL wypełniły dzieła Haydna i Ravela w wykonaniu pianistki Marii Magdaleny Janowskiej-Bukowskiej i gościnnie prowadzącego orkiestrę Filharmonii Łódzkiej Józefa Radwana.

Klasyczna już anegdota opowiada o tym, jak książę Esterhazy zwraca się do swego nadwornego kompozytora Józefa Haydna: „Niech Józef napisze jakąś nową symfonię. Będziemy mieli gości.” Tych symfonii, pisanych początkowo na książęce zamówienie, powstało w sumie 104, a kompozytor należał do geniuszy, stwarzających podwaliny pod późniejszy rozkwit tej formy. Symfonia g-moll nr 83, którą usłyszeliśmy na koncercie, należy do cyklu „symfonii paryskich” powstałych w latach 1774–90, reprezentujących drugi okres symfonicznej twórczości Haydna. Kompozytor usuwa z nich definitywnie klawesyn, traktując natomiast wszystkie instrumenty bardziej indywidualnie, wykorzystując ich charakterystyczne możliwości techniczne i kolorystyczne brzmieniowe. Symfonii g-moll, francuscy słuchacze przyzwyczajeni do programowości, nadali podtytuł „La poule” (Kura), sugerując się wielokrotnie powtarzanym w I części punktowym motywem oboju. Do najciekawszych fragmentów tej symfonii należy niewątpliwie Andante, które Józef Radwan poprowadził ze szczególną troskliwością, subtelnie różniąc dynamikę smyczków, chcąc jakby podkreślić, że za kilka lat powstanie arcydzieło Mozarta w tej samej tonacji. Cały utwór dyrygent zaprezentował lekko, przejrzyście, z dużą dbałością o szczegóły, nie rezygnując zarazem z pewnych akcentów melancholii (cz. I i II) tak, że symfonia ta, nie należąca do najbardziej interesujących w dorobku Haydna, ukazała w pełni swą klasyczną prostotę i żywotność.

Drugą część koncertu wypełniły dobrze

znane dzieła Maurycego Ravela: Koncert fortepianowy G-dur i „Bolero”. Koncert o którym pisał sam kompozytor, że „nie musi pretendować do głębi ani oglądać się za dramatycznymi efektami”, mimo że tak bezpretensjonalny w swoim charakterze, wymaga jednak dużych umiejętności zarówno od solisty jak i od dyrygenta:

KURA TAŃCZĄCA BOLERO

nie tylko pianista musi tu być świetnym wirtuozem — w tym samym stopniu dotyczy to trębacza, a także innych członków orkiestry.

Opinię tę potwierdziło w pełni piątkowe wykonanie z tym, że głównym wirtuozem była w tym wypadku orkiestra, znakomicie przygotowana przez Józefa Radwana, której towarzyszyła „obligato” Maria Magdalena Janowska-Bukowska. Pianistka, jakby opacznie pojęła intencje kompozytora, dając popis tzw. gry „bezpłciowej”. Ani za szybko, ani za wolno, ani za głośno, ani za cicho, ani z wirtuozowskim blaskiem, ani z głęboką refleksją. Młdy i bezbarwny ton fortepianu nieważnił chwilami zamierzenia dyrygenta, starającego się wydobyć z orkiestry wszelkie niuanse kolorystyczne (świetne pianissimo harfy i wiolonczel w I części). Wstępna melodia części powolnej (Adagio assai), urzekająca rzeczywistością mozartowską prostotą, tak łatwą, tak mało sfingowaną, że nie nastroża wykonawcy niemal żadnych trudności, okazała się największą pułapką dla pianistki. To solowe, obojętne preludium, stwarzało wrażenie próbnego ćwiczenia w pokoju dobrze odgrodzonym od ewentualnych słuchaczy,

a nie występu przy wypełnionej sali. I na cóż się zdają świetne popisy trąbek i puzonów w finałowym Presto, pełnobrzmiąca orkiestra, która niestety (a może na szczęście), zagłuszała wirtuozowską partię fortepianu, o której powiedziano kiedyś, że przypomina nocne światła Paryża... Tym razem były to, wygaszone na skutek oszczędności energii, ulice Łodzi.

Wreszcie „Bolero”, popisowy numer orkiestr symfonicznych, magnes przyciągający słuchaczy utworu napisany właściwie z braku czasu na prośbę tancerki Idy Rubinstein, wykonany po raz pierwszy w 1928 roku i przynoszący kompozytorowi światową sławę. Ravel dał tu pełny wyraz swej predylekcji do komponowania muzyki opartej nie na pracy tematyczno-przetworzeniowej, lecz na jubilerskim (nazywano go nawet „muzycznym zegarmistrzem”) opracowywaniu powtarzającej się frazy. Jeden, krótki, 18-taktowy temat, przewija się nieustannie wraz ze swoimi wariantami poprzez różne instrumenty, na tle jednostajnego akompaniamentu rytmicznego, podtrzymywanego przez werbel. Sam Ravel owo crescendo na orkiestrę określał jako „studium instrumentacji”.

Piátkowe wykonanie „Bolera” należało niewątpliwie do najbardziej udanych, chociaż nie ustrzegło się tej, od ponad pięćdziesięciu lat trwającej, trudności wykonawczej — utrzymywania odpowiedniego tempa i dynamiki werbla, który przechodząc kryzys gdzieś w połowie utworu (przyspieszenia, zwolnienia), osiągnął szczyt swoich możliwości po około dwóch trzecich czasu trwania kompozycji. Józef Radwan, oszczędny w geście, precyzyjnie we wskazówkach interpretacyjnych, z niezachwianą pewnością batuty doprowadził błyskotliwie grającą orkiestrę do pełnej blasku kulminacji.

I — jak powiadają kroniki, nie zdarza się, aby „Bolero” nie było bisowane — tak i tutaj tradycji stało się zadość. Końcowy fragment utworu usłyszeliśmy, z prawdziwą satysfakcją, jeszcze raz.

JACEK KRAKOWSKI

KSIĄŻKA

Mam właśnie w ręku fotokopie odnalezionego przypadkiem za granicą oryginalnego dyplomu Uniwersytetu w Genewie. Dokumentem tym rektor uczelni, profesor historii powszechnej Pierre Vaucher dnia 14 lipca 1890 r. zaświadczał, że na podstawie certyfikatu Wydziału Humanistycznego o odbytych studiach, nadaje się pannie Wandzie — Cezarynie Wojnarowskiej dyplom licencjata nauk społecznych.

W czasie, kiedy wystawiano jej dyplom, nie mieszkała już w Szwajcarii. Za udział w demonstracyjnym pogrzebie rosyjskiego rewolucjonisty Izaaka Dembo, który zginął podczas eksperymentowania razem z Aleksandrem Delskim z bombami, które miały być użyte do zamachów na cara i cesarza Niemiec, została wydalona przez władze szwajcarskie i przeniosła się do Paryża.

O Wandzie-Cezarynie Wojnarowskiej, jednej z najsilniejszych postaci polskiego ruchu rewolu-

stacji, przypomnienie tej roli i zasług, a w szczególności wkładu w teorię i praktykę marksizmu, który był udziałem tego pokolenia polskich działaczy rewolucyjnych. Myślę jednak, że cel autorski nie ograniczył się tylko do tego, co powiedziano: sama choćby narracja książki sugeruje, że bodaj czy nie głównym zamierzeniem autorki było uporządkowanie już istniejącej, a także rozszerzenie w oparciu o źródła tam, gdzie było to aktualnie możliwe, naszej historycznej wiedzy o życiu i działalności tej bohaterki.

Rzecz to nasycona nowymi informacjami, wydobytymi ze źródeł, rozszerzająca zakres naszej naukowej wiedzy nie tylko o bohaterce tego tomiku, ale także o ludziach i sprawach środowiska, w którym się obracała.

Właśnie: autorka pisze tu nie tylko o samej Wojnarowskiej, ale także o ludziach, z którymi współpracowała, o których się ocalała oraz o ich sprawach. Należała bowiem Wojnarowska do bliskich współpracowników Ludwika Waryńskiego. Szymona Dłuskiego i innych twórców polskiego ruchu socjalistycznego.

MAŁO ZNANA MARKSISTKA

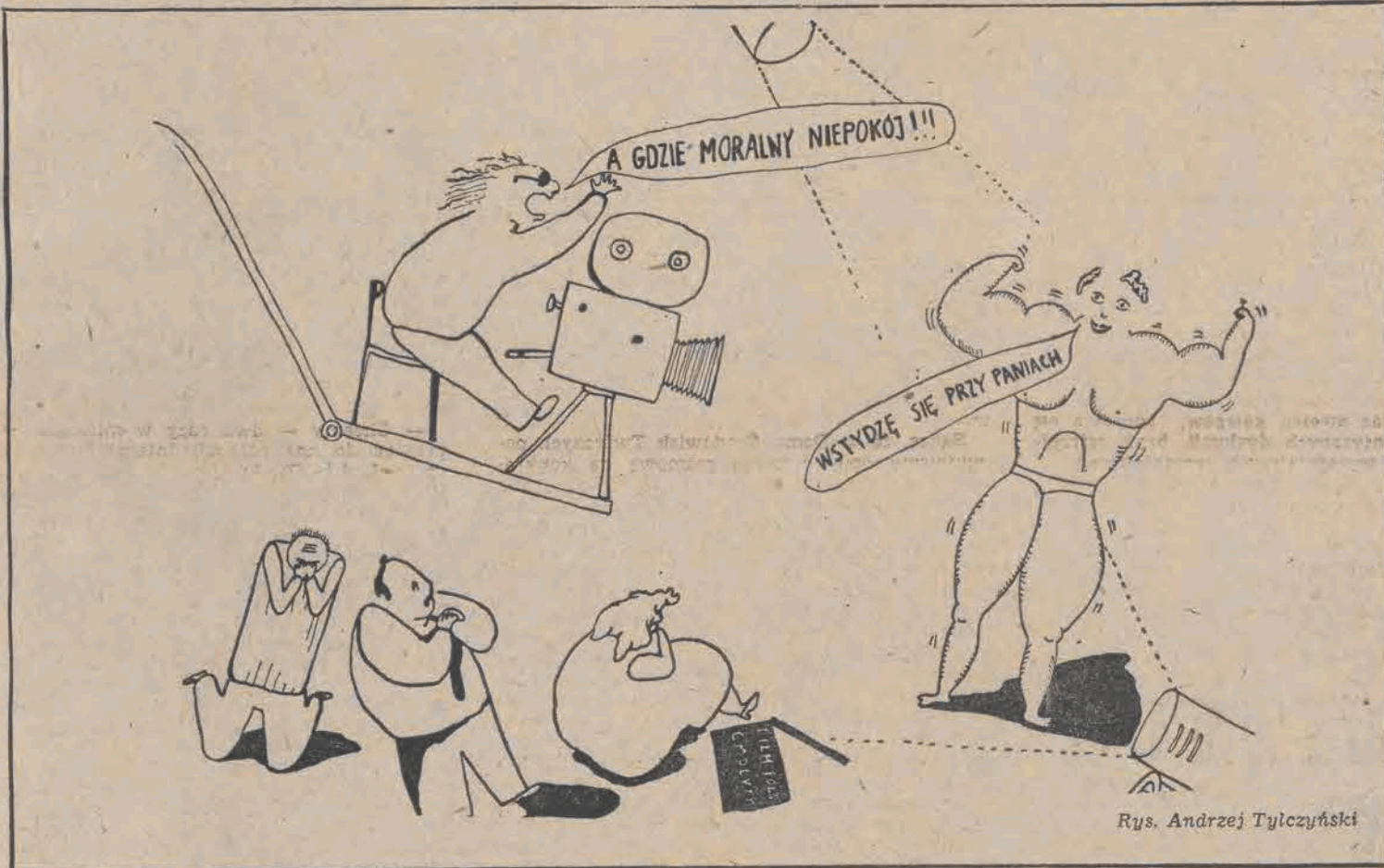
cyjnego z końca XIX i początków XX stulecia, mówi się i pisze wciąż niewiele. Znaczące luki wykazuje nasza znajomość tej biografii, nie mamy też pełniejszego rozeznania w jej obfitości spisuźnię piarskiej. A była przecież Wojnarowska działaczką, która nie tylko zabierała głos w doroznych kwestiach politycznych. Była ona uczonym kobietą wszechstronnie wykształconą, zajmującą się zagadnieniami historycznymi, ekonomicznymi i filozoficznymi. Jej znajomość teorii marksizmu budziła podziw tych spośród jej towarzyszy, którzy nie potrafili przebrnąć przez lekturę bodaj części „Kapitału”. Była zwolenniczką teorii materializmu historycznego, do której często się odwoływała w swych analizach zjawisk i procesów społecznych. Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest opublikowany przez nią w 1886 r. — to jest, właśnie wtedy, kiedy nasionowała się historia — w warszawskiej legalnej prasie (mianowicie w Dodatku Miesięcznym do Przeglądu Tygodniowego) artykuł pt.: „Logika myśli i logika historii”. Stanowiący interesujące studium dzieł demokracji, opracowane pod wyraźnym wpływem marksizmu. Nie mamy niestety wyzerbulanej bibliografii pism Wojnarowskiej, nie posiadamy żadnego ich wyboru, choć warto byłoby o nim pomyśleć.

Pierwsza osobna książka o W.C. Wojnarowskiej otrzymałismy dopiero niedawno: jest nią wydana w biograficznej serii „Książki i Wiedza” (1979) monografia p. Bożeny Krzywickiej, „Cezaryna Wojnarowska”. Doskonale napisana książka ta ma na celu — jak to podkreśla autorka na wstępie — przybliżenie dzisiejszemu czytelnikowi tej wybitnej po-

byli zaprzyjaźniona z Jerzym Plechanowem i jego żoną, utrzymywała rozległe stosunki z ówczesnymi polskimi i zagranicznymi działaczami rewolucyjnymi. Dobrze, że idąc tropem jej życia, autorka tej książki nie poprzestaje na suchej biografii, a ukazuje nam postać swej bohaterki na szerszym tle spraw społecznych. Dobrze, że nie sa to sprawy — jak można by rzec — tylko i wyłącznie polityczne i ideologiczne, ale również i sprawy codzienne, choćby tak prozaiczne, jak codzienne warunki bytowania ludzi, którzy dokonali życiowego wyboru, łącząc się z lewicą rewolucyjną.

Czy wszystko już o Wojnarowskiej wiemy? Myślę, że dopiero ta monografia ujawnia, że mimo wszystko wiemy o niej wciąż zbyt mało, aby poprzestać na tym, co zawierała w swej książce B. Krzywicka. Pole do dalszych badań jest otwarte. „Książka i Wiedza” postarała się, aby ta książka nadsłać właściwą formę: ukazała się ona na dobrym papierze, z ładnymi ilustracjami, w niewielkim — choć w dzisiejszych czasach oszczędzania papieru wcale nie tań — znowu małym — nakładzie prawie 10 tysięcy egzemplarzy. Do wydawnictwa mam tylko pretensję o niezbyt staranna korektę: strony 145 i 203 (które podaje tu tylko w charakterze przykładu) począzła, że prowadzący te książki redaktor nie bardzo radził sobie z językiem francuskim i to nie tylko w cytatach, ale przy nazwiskach, a zwłaszcza nazwach ulic w Dzielnicy Łódzkiej, które od tamtych czasów nie zmieniły się aż tak bardzo.

LEKTOR



skie i inne biskupstwa pograniczne — w tonacji jednolicie czarno-białej. I właśnie tym prawdziwiej i bardziej przekonująco, że bez takich ułatwień, ukazałby się Wamili ku Polsce jako zjawisko absolutnie naturalne i o metryce równie starej jak twierdza w Marlenburgu. Bynajmniej nie jak utrzymują panowie Czaja i Strauss — o metryce... pozdamskiej.

Zbliżył nas do tamtych, jak bar-

zbyt młodziutkim zwycięstwem. Stanowczo wszystkie te powieści zasługują na wyprowadzenie ich z parteru sfilosofowanej wiecznej rzeczy niepamięci szeregowej produkcji piarskiej — na wysokie piętro literatury.

Bardzo cenię powieści o dwudziestolecie międzywojennym Lesława Bartelskiego, ale o nich — i jak najślusniej — pisano dużo, a ja tu przecież mówię o niedocenianych.

wie romance o Rembielińskim, największym, obok księdza Staszica, działaczu gospodarczym Królestwa Kongresowego przed Nocą listopadową.

Z twórczości z pogranicza eseistyki i beletrystyki nie doceniana — a nawet programowo przez emkierską krytykę nie ceniona jest proza Hanny Muszyńskiej-Hoffmannowej. Ta poczytna autorka jako stylistka jest wyborną uczennicą nieodżało-

dziej za dodawanie trzeciego (odrzućcanego przez stawiaczy pomników i dydaktykę obiegową) wymiaru postaciom bohaterów narodowych, wodzów i ideologów. Mówiąc „trzeci wymiar”, myślę tu o ich postępowaniu w sytuacjach zwykłych, codziennych, pozornie szarych, ale tych, w których wielkość postaci sprawdza się, jak to uczył choćby Shaw w „Zołnierzu i bohaterze”. do końca i nie mniej autorytatywnie. A jednocześnie te postacie stają się rzeczywistością nam bliskie schodzą z wyżyn patetyki akademickiej między nas. By je dojrzeć, nie musimy już zadzierać głowy do obłoków, w myśl wiersza „Patrz, Kościuszkę, na nas z nieba”. Z wielu — niekiedy nazbyt spieszenie pisanych — książek Hoffmannowej cenię szczególnie cykl gawęd o Arkadii i Nieborowie „O paniach z krajnej szczęścia” (w którym autorka ujmuje się za ukazywanym przez historyków i beletrystów jedynie ułamkowo i w sposób niesłusznie karykaturalny wodzem powstania listopadowego przed Skrzyniakiem — generałem Michałem Radziwiłłem) oraz świeżo wydana „Miłość i sentymenty Tadeusza Kościuszki”.

Przez lata całe wmałwiał w nas warszawscy „europejczycy”, że sprawy polskie to przejawy zatechłej parafianiszczyzny z dodatkiem groteskowej donkiszoterii i że budzą one na Zachodzie tylko uśmiech politowania i wzruszenia ramionami. Wmałwiał nam ponadto, że sprawy te nie mogą być absolutnie zrozumiałe poza granicami, jako że nie podda się niczyjemu, poza Poloniusami, rozumieniu wszelkie irracjo-

nalne, obsesyjne mełniactwo. W myśl tych przekonań na miano sprawy uniwersalnej zasługiwało grzmoczenie się pod Hastings, nigdy zaś Legnica czy Chocim. Awantury chuliganów amerykańskich na Dzikim Zachodzie zasługują na to, by stać się pedagogicznym dobrem młodzieży (i nie tylko) całego świata, natomiast walki naszych zagonczyków na Dzikich Polach miały być „barbarzyństwem”, które najniepotrzebniej w świecie Hofman przenosił na ekran w „Panu Wołodyjowskim”. „Poeta wielkim był” np. Baudelaire, natomiast tylko straszdem lekcyjnym sklerotycznych „psorów” — Słowacki. Tak nam długo i wymownie wmałwiał to i tamto ci, pozał się Boże, krytycy-„europejczycy”, że wreszcie sami uwierzyliśmy we własną dziwaczność i nieprzystawalność do jakiegokolwiek racji rozumowych i rzeczywistości wartościowych odczuć. Toteż fakt, że np. „Wesele” Wyspiańskiego w przekładzie na język filmowy przez Wajdę przyjęte zostało na Zachodzie i z nieklamany zainteresowaniem, i, jak widać z recenzji i eseistyk, ze zrozumieniem, powitałismy jako zaskoczenie o wymiarach cudu.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

*) Pomiędzy historyczne książki łódzian, by uniknąć podejrzenia o „patriotyzm układowy”.

NA NIEZAUWAŻENIE

dzo nieraz innych od nas, ludzi (w pojęciach etnicznych, religijnych, w codziennościach) na odległość, powiedzielibym, kroku. Taką samą, na jaką potrafiła zbliżyć się do ludzi średniowiecza Sigrid Undset w „Krystylinie, córce Lavransa”. Zdał z nas Ogródziński również w jakiejś mierze kompleks niedoleństwa narodowego, jeśli chodzi o niewykorzystywani wygranych wojen. W niepojętym dla nas zachowaniu się Jagielly po rozgromieniu potęgi krzyżackiej widzi chęć beznamiętnego polityka, działającego nie samojednym pod Tannenbergiem i w konkretnej sytuacji środkowo-europejskiej, zachowania równowagi sił w tej części świata, naruszonej zbyt nagle i

Zastępują jak najbardziej na umieszczenie w świadomości krytyki i dziejopisów literatury współczesnej na wyższym piętrze literatury dwie co najmniej świetne powieści Danuty Biełkowskiej „Trwaj chwilo” i „Kawaler Różanego Krzyża”. W pierwszej autorce udało się rzecz arcytrudną: pogodzenie zręcznie poprowadzonego wątku współczesnego, poświęconego problemowi bynajmniej nie pretekstowemu i blaheemu, że znakomicie wpisana w dramaturgię utworu opowieścią o dniu dzisiejszym i wczorajszym Rumunii, z uwypukleniem mało na ogół znanych w Polsce, barwnych poloników jagiellońskich. Wysoce również cenię jej „Kawaler Różanego Krzyża” —

wanego Stanisława Wasylewskiego — twórcy polskiej szkoły pastiszu. Cenię ją nie za odmawowywanie wielkich wydarzeń i aktów historycznych (jej kobieta, natura tych rzeczy — nie czując się w nich zresztą najmocniej — świadomie unikła). Cenię za rzadką umiejętność wskrzeszenia dnia jak o dzień życia magnackiego, średnioślacheckiego i mieszczańskiego w okresie zwłaszcza od polskiego rokoka po bój pod Ostrołęką. Wskrzeszenia zrealizacji dziś całkiem w naszej świadomości barw owego dnia jak o dzień, obyczajów, mentalności, życia towarzyskiego, przeciętnej wiedzy i nawet poglądów na hygienę tamto-czesnych ludzi. Cenię ją jeszcze bar-

W dziejach polskiego kina temat wojny i okupacji stanowi szeroki i ważny nurt. Właściwie powiedzieć należałoby więcej — w jego ramach znalazły się dzieła, które po dziś dzień wyznaczają najwyższy pułap ideowy i artystyczny dokonania naszego kina. Znajdował on realizację, których rangę określają czynniki najróżniejsze. Spośród nich wyróżnić należałoby świadomość historyczną i ideową twórców, intencje prowadzonego dyskursu z odbiorcą, wybór gatunku filmowego, w których wypowiedzi te były kształtowane, wybór wątków szczegółowych i ich bohaterów, a wreszcie same ambicje i talent autorów i — co także ważne — czas, w którym filmy te powstawały.

Czynniki te sprawiają, że trudno mówić o jakiegokolwiek jednorodności omawianych tu filmów. Był w polskim kinie czas „Ostatniego etapu” Wandy Jakubowskiej i „Pasażerki” Andrzeja Munka. Używając przyjętych w naszej krytyce określeń, był w okresie tzw. szkoły polskiej czas bohaterów kordianowskich i bohaterów plebejskich, a więc dramatycznych dyskusji, jakie prowadziły z polskimi widzami Andrzej Wajda i Andrzej Munk oraz równoległe im towarzyszące filmy Kazimierza Kutza („Krzyż Walecznych”, „Ludzie z podzię”, Witolda Lesiewicza („Kwiecień”, „Rok pierwszy”), Leonarda Buczkowskiego („Orzeł”) i Stanisława Różewicza („Wolne miasto”, „Świadectwo urodzenia”, nieco później „Westerplatte”).

Były w polskim filmie monumentalne epickie realizacje Jerzego Passendorfera („Kierunek Berlin” i „Ostatnie dni”), Ewy i Czesława Petelskich („Czerwona jarzębina”) i ostatnia najdoskonalsza ich wersja, czyli „Do krwi ostatniej” Jerzego Hoffmana.

W takich zaś filmach, jak „Prawdziwy koniec wielkiej wojny”, „Jak być kochaną”, „Ostatni dzień lata”, „Jak daleko stąd, jak blisko” ich twórcy czas wojny rozpatrywali i analizowali jako czynnik determinujący osobowość w całym późniejszym życiu człowieka. Najważniejsze, najbardziej znaczące głosy młodszych pokoleń twórców znalazły swe ujawnienia w apokaliptycznych wizjach wojny i okupacji, zawartych w takich filmach, jak „Trzecia część nocy” Andrzeja Żuławskiego i „Szpital Przemienienia” Edwarda Zebrowskiego.

Wojna i okupacja doczekały się też w naszym kinie spojrzenia komediowego. Powstały m. in. takie filmy, jak „Giuseppe w Warszawie” Stanisława Lenartowicza oraz „Gdzie jest generał?” i „Jak rozpetaliśmy II wojnę światową” Tadeusza Chmielew-

skiego. I wreszcie, wpisano także w czas wojny element przygody i sensacji, które najtrafniej reprezentują telewizyjne seriale „Cztery pancerni i pies”, „Kapitan Kloss”.

Wymienione tu przykłady nie ogarniają, oczywiście całości omawianego zagadnienia i stanowią jedynie egzemplifikację jego głównych wątków i tendencji. Przy omniawianiu je po to, by usytuować gdzieś w ich tradycji najnowszy film wojennego tematu, czyli „Gwiazdy poranne” Henryka Bielskiego, zrealizowany w oparciu o scenar-

iusz Ewy Petelskiej (1). Nie jest to, jak sądzę, film, który będzie często przywoływany w dyskusjach dotyczących nurtu wojennego w historii polskiego filmu. Nie taka jego ranga i nie takie chyba ambicje.

Są jednak „Gwiazdy poranne” filmem, który w udany sposób dopełnia jeszcze jeden nie wspomniany dotąd wątek omawianego tu filmu. Myślę tu o takich znowu jedynie przykładowo wspomnianych filmach, jak „Przerwany lot” Leonarda Buczkowskiego, „Legenda” Sylwestra Chęcińskiego, „Opady liście z drzew” Stanisława Różewicza. W gruncie rzeczy nieco trudno znaleźć w pełni dla nich wspólne cechy charakterystyczne. Tym, co je jednak łączy, jest pewna, różnie zresztą realizowana, kameralność ujęcia tematu wojny. Nie ma w nich wielkich pól bitewnych i nie pojawiają się w nim także rozdarci wewnętrzne, poszukujący i wybierający bohaterowie.

WŚRÓD WOJENNEGO TEMATU

PIĘĆ PRACOWITYCH DNI

skim o 40-odcinkowej panoramie województwa, którą zaprezentował Dziennik Telewizyjny. Sądzę, że było to przypomnienie konieczne, bo jak powiedział jeden z delegatów, zaproszonych przez „Studio-2”, do dobrego latwo przywykamy, traktujemy je jako rzecz naturalną, często zapominając jakim wysiłkiem to dobro zostało stworzone. Owa panorama województwa uwydat-

telemi (np. „Poglądy”), których dziennikarskim celem było uczestnictwo, aktywne i twórcze, w przedzjazdowych dyskusjach. Choć, co trzeba przyznać, niemal jako jedyna zadania takie spełniała Naczelna Redakcja Dziennika Telewizyjnego. A powołując się na kontekst zagłoszonego w zjazdowym zespole problemowym „Socjalistyczna kultura i

niając ogrom nakładów finansowych, inwestycyjnych oraz ogólnospołecznych uaoacznia jedno-cześnie skalę osiągnięć ostatniego dziesięciolecia. Ale nie był to album, który trzeba przekartkować, aby pochwalić się światłą przeszłością. Cykl „Prosto z Polski” zaprogramowany został jako zapis teraźniejszości, która domaga się koniecznych kontynuacji.

Zatrzymałem się na cyklicznej audycji „Prosto z Polski”, a przecież ostatnie miesiące przed Zjazdem wypełnione zostały w

sztuka, działalność środków masowego przekazu”, można było oczekiwać szerszego zakresu „rzetelnej i dojrzałej rozmowy ze społeczeństwem, sprzyjającej wzrostowi jego aktywności”.

Telewizyjna rekapitulacja dziesięciolecia, której dokonał DTV w cyklu „Prosto z Polski” miała jeszcze jeden ważny aspekt. Dzięki niej, słowa, które padły z trybuny zjazdowej uzyskiwały konkretny i rzeczywisty wymiar. Nazywały nie tylko to, co możemy zaobserwować z okien własnego domu, na co patrzymy

Jest w nich czas wojny i ludzie, których losy i postawy, mają charakter anonimowy, są jednakże tym czasem zdeterminowani. Ich postawa odwagi i czynu ma charakter niezwykle skromny, pozornie mało oohaterski, a ich osobiste dramaty rozgrywają się jakby w cieniu wielkiej wojny.

Ta atmosfera przeniknęła też do filmu Henryka Bielskiego. W mym odczuciu została jednak nieco zmałowana serwitami na rzecz elementów przygody, a nawet sensacji. Nie czynię z tego jakiegos poważnego zarzutu, bo z drugiej strony — te elementy właśnie zyskują, co czuje się podczas kinowego seansu, wdzięczną aprobatę widzów. Stwierdzić tu należy także, że debiutujący w dużej fabule reżyser zaprezentował umiejętności, których często nie staje reżyserem długo już praktykującym. Wartość prowadzenia akcji, organizacja planu, budowanie atmosfery poszczególnych scen, a przede wszystkim dobra praca z aktorem, to niewątpliwie walory warsztatu Henryka Bielskiego.

W opowieści, której akcja rozgrywa się w styczniu 1945 roku na terenie zagubionej w śniegach wioski, nie mało sensacyjnych i dramatycznych wydarzeń. Ich głównym wątkiem jest pomoc, jaką mieszkańcy wioski i partyzanci niosą żołnierzom radzieckim, którzy w trakcie jednej z zaczepnych akcji utknął z powodu awarii w jej okolicach. Scenariusz Ewy Petelskiej wydobyl maksimum sytuacyjnych i tragicznych spieżeń tego zdarzenia oraz przyniósł wiele ciekawych rysunków postaci wewnątrz i na zewnątrz. Postaciom tym, niezależnie od przewidzianych scenariuszem zadań, wiele prawdy psychologicznej przydał aktorzy tej miary, co Ryszarda Hanin, Bronisław Pawlik, Janusz Kłosiński, Marian Kociniak, którym towarzyszą polscy i radzieccy aktorzy. Bodaj ostatnią swą rolę zagrał w tym filmie znakomity jak zwykle Leszek Herdegen. „Gwiazdy poranne” Henryka Bielskiego są zatem filmem, który naprawdę się dobrze ogląda, i który dopisuje do wielu tu wspomnianych wątków wojenno-okupacyjnego tematu polskiego kina jeszcze jeden głos.

EWA NURCZYŃSKA

FILM

August Strindberg napisał dramat „Fröken Julia”, czyli „Panna Julia” w 1888 roku, jako trzydziestodwuletni mężczyzna, mający za sobą ponad dziesięć lat nieszczęśliwego małżeństwa z aktorką Siri von Esson. Aż banalnie brzmi wielokrotnie podkreślany wpływ złych doświadczeń małżeńskich pisarza na jego twórczość. Faktem jednak jest, że w dziełach swych zawarł wielki ładunek mizoginii. Na kilka lat przed opublikowaniem „Panny Julii” wytoczony mu został proces za obrażenie moralności właśnie w związku z antyfe ministyczną postawą, manifestowaną w sposób bezlitosny w jego utworach. „Panna Julia”, historia o hrabiance, która prowokuje do grzechu służącego Jeana, musiała również wstrząsnąć mieszczańską opinią i to zarówno w sferze moralnej, jak i społeczno-obyczajowej. Sztuka była niewątpliwie „skandaliczna”, naruszyła porządek społeczny i wszelkie reguły etyczne. Zrozumiała rzecz, że dziś, po blisko stu latach, odbieramy

TELEWIZJA

nas jak Beatrycze w obszar, których istnienia nie domyślamy się.

Jest Komorowska aktorką oniryczną, bardziej ze snu niż z jawy, traktującą sytuację fabularną zarysowaną przez autora utworu dramatycznego jako przepustkę do świata podświadomości, w którym zaciera się odrębność indywidualne ludzi, opadają jak zeschłe liście wszystkie zewnętrzności, pozostaje zaś samo jądro, wspólne wszystkim pragnienia, lęki, marzenia. Wszystkie te uczucia są tu nieprecyzyjne, mgliste, rzadzą się własną, odmienną logiką, wobec której doświadczenia codziennosci są całkowicie bezradne.

Nie zgodziłbym się z określeniem Komorowskiej jako aktorki intelektualnej. Wszelkie wyrozumowanie, chłodna refleksja, nie doprowadziłyby jej do takich rezultatów, a prze-

MAJA — INNA JULIA

„Pannę Julię” zupełnie inaczej. Jeżeli realizacja sztuki skupi się na jej aspektach społecznych i moralnych, z góry można przewidzieć niepowodzenie. Otrzymamy bowiem melodramat, dosłowny, bez wdzięku, którego konflikt jest dla współczesnego człowieka bez znaczenia. Oglądałem parokrotnie ten dramat, zachowując we wspomnieniu przede wszystkim uczucie nudę.

Na szczęście ekranizacja telewizyjna „Panny Julii” dokonana przez Bohdanę Korzeniowską, niewiele miała z tradycyjnym ujęciem wspólnego. Oglądałmy ją jakby inną sztukę, przy czym fascynujące były te warstwy tego utworu, które dotąd były głęboko ukryte. Stało się to przede wszystkim dzięki interpretacji roli tytułowej przez Maję Komorowską i artystce tej pragnę poświęcić swój felieton.

Nie po raz pierwszy przychodzi mi pisać na temat jednego w swoim rodzaju aktorstwa Komorowskiej. Polski teatr, film i telewizja, zyskują w jej osobie wielki atut, z którego należy jednak umiejętnie i oszczędnie korzystać. Nie jest to bowiem aktorka o najszybszym zastosowaniu, szkoda po prostu jej talentu dla ról przeciętnych, płaskich, w swym naturalizmie, jednoznacznych.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że Komorowska ukształtowała najbardziej współczesne badania psychiki ludzkiej, rewidując dotychczasowe poglądy na motywy działań i zachowań. Tworząc postać sceniczną czy ekranową, aktorka sięga do tak głębokich pokładów podświadomości, że udaje się jej dokonywać całkowitych przewrotek. Jej gra ukazuje nam jakby nowe, nieznane horyzonty. Komorowska wprowadza

ciwnie — stanowiłaby krepującą ją wędzidło. Właśnie intuicja, ale intuicja wyższego porządku steruje aktorstwem Komorowskiej.

Kunszt tej aktorki nie jest łatwy, dla wielu odbiorców może z gruntu niedostępny. Tych zachowania sceniczne Komorowskiej mogą drażnić, irytować. Może Julia w jej interpretacji wydawać się po prostu wariatką, kobietą, która sama nie wie, czego właściwie chce, niweczącą siebie i ciągnącą w dodatku ku zgubie człowieka zwyczajnego, prostego, o normalnych reakcjach, jakim jest Jean. Sprawa megalomani hrabianki, zadającej się z lokajem, czy kobiety fatalnej, druzgoczącej życie mężczyzny, odchodzi jednak na plan daleki, staje się czymś nieważnym.

Komorowska rozgrywa swój dramat, wpisany jakby między wiersze sztuki Strindberga. Jest to dramat dotyczący najgłębszych problemów egzystencji ludzkiej, zakosnych poszukiwań odpowiedzi na podstawowe pytania: jak żyć? jak odnaleźć właściwą dla siebie ścieżkę w płatninie dróg i gościńców, prowadzących może donikąd? Jej Julia chwyta się gorączkowo każdej konkretnej propozycji podsuwanej przez Jeana, by odrzucić ją niemal natychmiast jako całkiem bezużyteczną.

Zdaje sobie sprawę, że będąc małą, wielu oponentów, nie mniej jednak twierdzi: Panna Julia to wybitna rola Mai Komorowskiej, a sposób, w jaki pokazywała nam twarz aktorki z trzech kamer Joanna Wiśniewska (reżyser tv), jest wręcz znakomity.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



PUSTE MIESZKANIE

W niewielkim miasteczku oddalonym dość znacznie od Pragi odbywa się pogrzeb starej samotnej nauczycielki. Na uroczystość przyjechała ze stolicy Helena — bratanica zmarłej, z ojcem i mężem z którym jest rozwiedziona. Helena z ciotką nie była związana uczuciowo. Zawsze uważała ją za starą, skąpą pannę, która zadrościła wszystkich w miasteczku, która nie miała własnego życia i dlatego w życiu każdego dostrzegała tylko błąd. Nie nigdy jej się nie podobano, była wiecznie żrząca i niezadowolona.

Po pogrzebie Helena musi w ciągu kilku dni zlikwidować mieszkanie zmarłej i wrócić do Pragi, do dzieci i pracy. Zaczyna przegadzać rzeczy ciotki i im dalej slega, tym bardziej ciotki i jej życie zaczynają przedstawiać się jej w innym świetle. Powoli znika ustalony od lat obraz starej panny, która zamiast życia miała pustkę i próbowała ją wypełnić kiepsko wykonywaną pracą i niechcianą miłością do rodziny, a pojawia się obraz żwawej, wykształconej kobiety. Kobiety, która miała szerokie zainteresowania, która była kochana. Kobiety dla której mężowie rzucali żony. Kobiety odważnej, nowoczesnej, nie wstydzącej się własnych uczuć, niedoskiej matki.

Ta głęboka powieść psychologiczna zyska sobie niewątpliwie wielu czytelników, poprzez swoją niebanalną i pełną napięcia akcję, a także poprzez problematykę, która w czasach kiedy życie toczy się w ogromnym pośpiechu, jest sygnałem, żeby w tej pogoni za dobrobytem nie zapominać o człowieku, często samotnym i nieszczęśliwym.

Maria Stankowa „Puste mieszkanie”, przekł. Joanna Goszczyńska, Czytelnik, W-wa 1979, str. 193, cena zł 15,—

CZERWONY KOGUT LECI WPROST DO NIEBA

Młodra Bulatović przedstawia naszym czytelnikom nie trzeba, znany jest z fragmmentów prozy, jakie zamieszczałyśmy w piśmie, a także z rozmów przeprowadzanych z nim na naszych łamach. Powieść „Czerwony kogut leci wprost do nieba” przynosi autorowi chyba najwięcej rozgłosu, zdobyła światową sławę, została przetłumaczona na ponad dwadzieścia języków. Doczekała się nawet adaptacji teatralnej.

Miejscem akcji powieści jest wieś czaragorska, autor przedstawia jeden dzień z życia tej wsi, może trochę nieodczynną, bo bogaty w wydarzenia. Nieopodal odbywa się wielki targ, przez wieś ciągną całe gromady chłopów i gna na sprzedaż zwierzęta, we wsi tymczasem wyprowadzają wesołe i jednego z najbogatszych mieszkańców, w innej zaś zagrodzie odprawiany jest pogrzeb; umiera stara, biedna wdowa.

Na kanwie tych wydarzeń autor ukazuje odwieczne problemy niekajace ludzkość: miłość i nienawiść, zło i dobro. Pokazuje skomplikowane drogi ludzkiej uczuć i niewytłumaczalne źródło najróżniejszych działań. Jest ogromna pochwała człowieczeństwa i godności ludzkiej. Każdy człowiek posiada w sobie niewyczerpane pokłady miłości i od człowieka już tylko zależy czy i jak często będzie z nich korzystał. Człowiek u Bulatovica jest wielką wartością właśnie poprzez tę ciągłą odradzającą się miłość do

ludzi i całego świata i poprzez to, że w żadnej sytuacji, nawet kracowej, nie ukrywa swego człowieczeństwa; jest dumny z tego, że jest człowiekiem i wdzięczny za przyjęcie bycia nim.

Młodra Bulatović „Czerwony kogut leci wprost do nieba”, przekł. Maria Krukowska, Czytelnik, W-wa 1979, str. 269, cena zł 35,—

PRZEWROT MAJOWY

Nakładem Czytelnika ukazano się wznowienie znakomitej książki Andrzeja Garlickiego „Przewrót majowy”. Andrzej Garlicki, kierownik Zakładu Historii Najnowszej Uniwersytetu Warszawskiego, członek kolegium redakcyjnego „Przeglądu Historycznego” i „Kultury”, swoją książkę potraktował bardzo szczegółowo i wszechstronnie.

Wydarzenia, jakie miały miejsce w Polsce w maju 1926 roku i okres rządów „silnej ręki”, który po nich nastąpił, zawsze nęciły naukowców do dokładnej penetracji i badań. Wiele też jest książek dotyczących tego niezwykle ważnego dla najnowszej historii Polski okresu.

Jednak książka Andrzeja Garlickiego wyróżnia się spośród nich w sposób oczywisty. Garlicki przyjął wielokrotnie sprawdzoną już w tego typu pracach metodę, że nie sposób pisać o wydarzeniach tego okresu pomijając ich korzenie, które sięgają aż do momentu narodzin II Rzeczypospolitej i ogólnej sytuacji międzynarodowej.

Garlicki w swojej książce daje jasny obraz sytuacji w kraju i w Europie w okresie poprzedzającym przewrót, a także w sposób rzetelny relacjonuje jego przebieg. Książkę w sposób zasadniczy wzbogacają dokumenty umieszczone w aneksie. Dużym jej walorem jest także prosty i komunikatywny język.

Andrzej Garlicki „Przewrót majowy”, Czytelnik, W-wa, 1978, str. 405, cena zł 50,—

Tygodnik L'EXPRESS pisze o wzroście ceny kości słoniowej, co powoduje, że słoniom w Afryce grozi całkowita zagłada. Wskazuje też, że wśród przemysłowców na wielką skalę znajdowali się niektórzy szefowie państw.

W 1955 roku Tanzaniańczy zwrócili się do swych chińskich przyjaciół o budowę linii kolejowej łączącej Dar es-Salaam z Lusaką, stolicą Zambii. Chińczycy przedstawili skromną cenę za budowę tej linii kolejowej o długości 2 tysięcy km, niemniej i pewnym niewielkim dodatkiem — kilku rogów nosorożców, a zwłaszcza kolekcji kłów słoni.

Od tego czasu ceny kości słoniowej poszły w górę. Chiński Mao zrobił na tym dobry interes. Dziś kość słoniowa kosztuje tyle co srebro i dochodzi często do 700 franków za kilogram. Nie jest już to tylko surowiec, z którego wyrabia się statuetki i bransolety, kule bilardowe i klawisze fortepianowe. Tak samo jak diamenty, kość słoniowa przejmując rolę diamentu, których kursy zmieniają się.

Jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych partyzanci angolscy z UNITA płacili kłami słoniowymi za broń i przemyconą dla nich amunicję. Niedawno brytyjskie towarzystwo finansowe zaproponowało telekssem jednemu ze swych partnerów dobrą transakcję: 15 ton kości słoniowej po 100 dolarów za kilogram, po cenie znacznie wyższej od zwykłego kursu. Transakcję zawarto w ciągu kilku godzin. Wartość kości słoniowej — krótko przed tym poszła w górę. Nie jest to jedyny przypadek. W odróżnieniu od dolarów, twierdzą finansyści, kość słoniowa nabiera coraz większej wartości. Tysiące kłów o wartości miliona franków są prawdopodobnie zmagazynowane obok sztab złota, w podziemiach banków i towarzystw inwestycyjnych w Tokio, Hongkongu, w Londynie i wielu innych stolicach.

Jak to zawsze bywa, chęć zysku rodzi nałuzycia i nielegalny przemysł. Słonie stały się ruchomymi kasami pancernymi, są tropione i masakrowane. Podobnie jak wielorybom grozi im zniknięcie z planety. Już obecnie okazy najciekawszych kłów można spotkać tylko w kilkunastu krajach Środkowej i Wschodniej Afryki. Są to kraje najbardziej niebezpieczne, nekane wojnami domowymi. Tak orzecze się o pokusie zabicia zwierzęcia, kiedy roczny dochód wynosi 1.000 franków, a zwierze przyniesie sto razy więcej? W Afryce od biednego chłopca po dyktarza wszyscy kłusują. W Azji, Europie, Ameryce wszyscy usilnie zabiegają o względy kłusowników.

Latem (1979) Kongres amerykański został poruszony. Przed specjalną komisją składali oświadczenia myśliwi i importerzy. Komisja zapytywała o opinie na temat tego łupieżstwa.

„W czasach Cesarstwa Środkowoafrykańskiego, cesarz Bokassa osobiscie miał monopol na handel kością słoniową — mówił jeden z ekspertów. Wyśłał on wojsko do buszu na poszukiwanie słoni. Mniej więcej dwa razy w miesiącu do Bangui powracał konwój ciężarówek wojskowych załadowanych trofeami paradując aż do koszar żandarmerii w centrum miasta. Tam każdy kłód, ważono, numerowano, wystawiano na słonce, zanim został załadowany na dwie „Caravelle” cesarskie lub nawet na samoloty „Air Afrique” udające się na lotnisko Roissy pod Paryżem.”

Ów ekspert stwierdzał następnie, że kość słoniowa była, lub jest nadal dzielona między kupców francuskich, belgijskich, niemieckich, holenderskich i azjatyckich, a zyski przekazywane towarzystwu „La Couronne” zarządzanemu przez krewnych Bokassy.

Po drugiej stronie rzeki Ubangui, w Zairze, los słoni bynajmniej nie jest wiele lepszy. W niektórych prowincjach wsie muszą dostarczyć gubernatorowi po 200 kg kości słoniowej rocznie. Tak jak w Afryce Środkowej ekspedycje są organizowane przez rząd z poparciem armii. Pewien obserwator, który pragnął zachować anonimowość przedstawia, jak w ogromnych lasach na za-

chód od Kisangani dziesiątkowano na ogromną skalę słonie i większość innych zwierząt. „Wiosną ostatniego roku ludzie zajmujący wysokie stanowiska w administracji zairskiej zagarnęli 20 ton pestycydów. Zamiast rozpylić je na plantacjach kawy, rozsypali je na bagnach, rzekach, wszystkich zbiornikach wodnych na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych, by zatruć słonie. Okazało się to oplatane. Przez wiele tygodni, do Kinshasy, jakby przypadkiem, nadchodziły setki kłów, a następnie wysyłano je do Brukseli i Paryża, skąd przesyłano je na Daleki Wschód.”

Opowieść tę potwierdza organizator wielkich polowań, Pierre Fiorenza, który gruntownie zna całą Afrykę tropikalną: „Plagą jest kłusownictwo organizowane przez niektórych szefów państw, którzy osobiście patronują myśliwym. Sprzedaż kości słoniowej nie zwiększa dochodu narodowego, ale pieniądże płyną bezpośrednio do kieszeni niektórych szefów państw i ich krewnych.”

Teoretycznie, zabijanie słoni i handel kością słoniową są regulowane na mocy konwencji waszyngtońskiej podpisanej w 1973 r. i ratyfikowanej przez 58 państw. W zasadzie każdy rząd udziela zezwolenia na polowanie w zależności od wielkości stad. Przy przewożeniu kości słoniowej przez granicę należy okazać zezwolenie na wywóz Państwa eksportującego, które podpisało konwencję, zobowiązały się w ten sposób do nieprzekraczania pewnych limitów. Celem tych zarządzeń jest zapobieżenie całkowitemu wyniszczeniu słoni, których w Azji praktycznie już nie ma.

Według sekretariatu konwencji waszyngtońskiej, wyśledzić o zdobycie kości słoniowej powoduje każdego roku śmierć 60 tysięcy, a często nawet 70 tysięcy słoni afrykańskich. W latach 1970-77 zginęła połowa słoni w Kenii, które padły ofiarą kłusownictwa.

Od tego czasu Kenia i Zair wprowadziły embargo na wszystkie trofea z kości słoniowej. „Ale w jaki sposób chcecieście nadzorować busz? — zapytywały dwie osobistości środkowoafrykańskie z rodziny byłego cesarza Kły są przemycane za zagarki i whisky. Przemysłowcy przepływają nocą pirogami rzekę. Jeśli jest tam celnik otrzymuje on niewielką sumę i przytyka oczy.”

A gdyby rząd zakazał przemysłowcom przyjazdu do kraju?

„Dotarliby przez Czad, Kongo, Kamerun, z innej strony. Zawsze znalazłby się jakiś kraj, który dostarczyłby fałszywe papiery na kość słoniową.”

Dwaj najwięksi specjaliści od słoni, Anglicy Ian Parker i Douglas Hamilton zredagowali dla rządu amerykańskiego obszerny dokument, w którym przedstawiają to, co im wiadomo na ten temat — pierwszy jako historyk kolonii i były kupiec, drugi jako biolog i pisarz.

W ciągu 10 lat — twierdzą oni — światowy handel kością słoniową wzrósł dwukrotnie od 400 ton rocznie do 800 ton w 1978 roku. Administracja lokalna, która miała chronić zwierzęta, bardzo szybko przystąpiła do „kontroli” polowania. Korupcja zaczyna się często w biurach, gdzie wydawane są zezwolenia. Duża liczba polujących zaopatruje niewielką liczbę kupców. Wszyscy, lub prawie wszyscy mają u siebie kość słoniową, od chłopca lub sklepikarza aż po portiera hotelowego lub żandarma. W tym handlu wieść z epoki kolonialnej pozostała silna. Kość słoniowa z Afryki używającej języka francuskiego przechodzi przez Brukselę i Paryż. Z Afryki anglojęzycznej przechodzi przez Londyn, RFN lub bezpośrednio do Hongkongu. Hongkong i Japonia skupują 80 procent kości słoniowej z Afryki.

Podobnie jak przemysł narkotyków, kość słoniową ukry-

wa się wśród innych artykułów. Tak więc kły przywożone są do Europy w skrzyniach z napisem „rzeźby z drewna” lub „urządzenia mechaniczne”. Przez pewien czas pozostają w magazynach portów lotniczych,

Kraje-importerzy dotychczas niewiele przejmowały się pochodzeniem towaru. W Brukseli, która jest niestety wymienianym we wszystkich raportach jako europejski ośrodek handlu w kierunku Azji, poli-

zwierząt pelzających, żywych zwierząt. Konwencja waszyngtońska zakazuje handlu międzynarodowego ponad 600 rodzajami zwierząt i roślin zagrożonych wyniszczeniem. „Mógiem” konwencji jest niewielka

jacjolog przyrody udało się wykryć importerów orangutanów, sprzedawców proszku z rogów nosorożców i wielkie domy towarowe, które proponują futra z dzikich i rzadkich zwierząt. Działaczom tej brygady antyprzemysłowej jest adwokat monachijski, Peter Sand, sekretarz generalny konwencji. Jego celem jest doprowadzenie do podpisania konwencji przez możliwie największą liczbę państw.

W Europie nie podpisały dotychczas konwencji Holandia i Hiszpania. Belgia i Japonia nie chcą ratyfikować. Francja wyraziła zastrzeżenie co do ograniczeń w handlu krokodylami i żółwiami, a za jej przykładem uczyniły to Włochy, Szwajcaria, RFN. W tych czterech państwach wykorzystuje się 80 proc. krokodli sprzedawanych na świecie. „Crocodilus porosus”, najpiękniejszy gatunek Azji, zaginie w ciągu pięciu lat, jeśli szybko nie podejmie się odpowiednich kroków.

Ale nawet te kraje, które podpisały konwencję, nie zawsze przestrzegają jej skrupulatnie. „Naszym bohaterem nie jest tajny agent w stylu Jamesa Bonda — mówi Peter Sand — ale skromny celnik, który nie zgodził się przepuścić wątpliwego towaru na lotnisku i będzie się przy tym upierał, mimo sarkazmu swoich kolegów.”

Mimo prohibitywnych cen — 90 tysięcy franków za goryla w Belgii — setki zwierząt przekraczają granicę codziennie i nikt tego nie zauważa. Małe szpansony są przebrane za niemowlęta i przewożone z kraju do kraju w workach dziecięcych. Rzadkie kaktusy są ukrywane w czekolach kapielowych na dnie waliz. Przemysłowcy dają dowody trudnej do zgadnięcia wyobraźni, by zmniejszyć czujność. „Wyrzuciłem pióra z ogonów przemalujecie skrzydła i dziób na czerwono i żółto” — pisał dyrektor japońskiego ZOO w zamówieniu na rajske ptaki, których wywóz z Indonezji jest zakazany.

Kary przewidziane w konwencji są minimalne w porównaniu z zyskami. Odesłanie zwierząt do kraju, skąd je przywieziono, jest trudne. Przekonano się o tym pewnego dnia, kiedy odesłano do Tajlandii dwa słonie przemycane do Malezji. Ich podróż kosztowała bardzo drogo.

Jedynie zatrzymanie przez celników może skłonić przemysłowców do zastanowienia. Najbardziej spektakularna akcja miała miejsce w lutym 1979 r. Specjalni agenci amerykańskiego ministerstwa ochrony środowiska uzbrojeni w pistolety, otoczyli rancho teksaskie, gdzie wykryli 17.500 skór kotów centkowanych pochodzących z Ameryki Południowej. Przemysł odbywał się nocą przez Rio Grande.

W sierpniu 1979 roku celnicy indyjscy przechwycili ładunek 150 skór węży i 500 skór wydry przygotowanych do wywstania do Frankfurtu. W RFN, latem ostatniego roku, dyrektor urzędu w Bremie odkrył skrzynię apetytowa 141 rogami nosorożców. We Francji, w marcu ub. zatrzymano na lotnisku w Bordeaux 8 szimpansów, 3 otyłych dwa krokodyle. Ich papiery były fałszywe.

Niekiedy ta gra okazuje się niebezpieczna. Przed kilkoma tygodniami na wni dobrowolni detektywi na autostradzie Paryż — Bruksela zostali zabici i porażeni przez samochód, który śledził. Jechali oni za niepozornymi włóczęgami, których podejrzewali o przemyt do Paryża małp i żółwi. Okazało się jednak, że mieli do czynienia z prawdziwymi ławodowcami. Małpy były wybrane hero na, a żółwie miały pod skorupą diamenty.

Interpol może opowiedzieć historie jeszcze bardziej wstrząsające. Jego agenci wykryli siatkę przemysłu narkotyków z Azji Południowej do Australii, a następnie ptaków do USA, nazywaną „części zamienne do maszyn liczących”.

Kość słoniowa, ptaki, krokodyl, heroina. Ta sama walka. Ta sama siatka. Ta sama po-
błażliwość.

SŁOŃ A SPRAWA ŚWIATA



Ładownictwo kłów do samolotu prywatnego Bokassy w maju 1979 r.



Wycinanie kłów z ciała martwego słonia

zanim zostaną przesłane — często nawet bez odcienia, na Daleki Wschód. Importerzy przyznają, że otrzymują tonaż kości słoniowej dwukrotnie wyższą niż zadeklarowany przez eksporterów. Nikt nie dziwi się, że w Burundi, gdzie stada słoni zostały już dawno wyniszczone, wydaje się tak wielką kłuskę zaświadczoną o pochodzeniu kości słoniowej.

Kraje i urząd celny twierdzą, że nie im nie wiadomo na ten temat. Zajmują się oni jedynie kilkoma Senegalczykami lub Kameruńczykami, którzy proponują bransolety, lub figurki z fałszywej kości słoniowej.

Prawdą jest, że pominiwszy kość słoniową, celnicy zachodni muszą ścigać przemysł innych artykułów o jeszcze większym zasięgu: futer, skór

ekipa mająca swoją siedzibę w Genewie, w lokalu Międzynarodowego Związku Ochrony Przyrody. Zajmują się ona doradztwem instytucjom administracyjnym i w każdym kraju kieruje tymi, których zadaniem jest sygnalizowanie, jakie zwierzę, lub jaka roślina jest przemycana. Uczestniczy w tej działalności międzynarodowa sieć Światowego Funduszu Ochrony Zwierząt. Tym przy-

Dalszy ciąg ze str. 1

padku, zapracowaną i zafrasowaną w drugim, kiedy to na przystankach autobusowych ustawiają się długie kolejki i tłumy walą obydwo- ma wyjściami metra.

Dla mieszkańców Madrytu jednakże, każdego wieczoru i w każdy świąteczny dzień, właśnie Puerta del Sol jest najważniejszym i ulubio- nym punktem miasta, jego niedużym, ale tę- niącym sercem, do którego zbiegają się wszy- stkie drogi i gdzie, chcesz czy nie chcesz, z planem lub bez planu, zawsze jakoś zaniosą cię nogi.

Stąd zaczyna swój bieg trzy duże, główne arterie Madrytu: Calle de Alcalá, Calle Mayor i Carrera de San Jerónimo. Stąd, jak na pla- cu Gwiazdy w Paryżu, rozchodzi się wokoło promieniście wiele innych mniejszych uliczek, na północ: Calle de la Montera, Calle del Car- men, Calle de Preciados i Calle del Arenal, która prowadzi w stronę pałacu królewskiego; na południe Calle de Espoz i Mina, Calle de la Carretas oraz Calle del Correo.

Długo zastanawiałem się, jak inaczej, bez obrazy dla Hiszpanów, można by nazwać Brame Słońca. Z uwagi na wielką ilość niewido- mych, stojących pod ścianami i sprzedających losy na loterię, chciałoby się powiedzieć: plac Slepaków.

Każdy z tych dotkniętych nieszczęściem lu- dzi, młodych i starych, mężczyzn i kobiet, zmuszonych wypukliwać sobie drogę na Puerta del Sol koniuszkiem białej laski, ma oficjalne, ustawowe prawo do sprzedaży owych losów. W ten sposób pomaga im państwo i w ten sposób zarabiają na życie, wykrzykując jak

Trzy tabliczki leżą na ulicy anonimowo, tak jakby ich autorom nie chciało się już więcej stać na wietrze, albo jakby wstydzili się wła- snego żebractwa. Motywacje te same. Na jed- nej dopisek: Wolę żebrnąć, niż krasnąć!

W grudniu, przy rogu Calle del Arenal, zoba- czyłem dwie śpiące na trotuarze dziewczynki; mniejsza nie miała więcej niż dwa i pół roku, starsza z dziesięć albo jedenaste. Nie tekst, który brzmiał dramatycznie (jesteśmy rodzeń- stwem, mama nie żyje, a tata siedzi w więzie- niu), lecz ich postawa, ułożenie ciała, jedna wtulona w drugą jak embriony, sprawiła, iż nie mając pieniędzy, czekając dopiero na pen- sję, odruchowo sięgnąłem do kieszeni. Prawdę mówiąc, strach było na nie patrzeć, coś złego działo się w sercu. Nie tylko ja — wszyscy przechodnie rzucali datki, drobniça sypała się jak z rozprutego worka. W chwili jednak, kie- dy padło moje pięć duro, powieka tej star- szej drgnęła ulotnie i widziałem przez moment czarne, smoliste, zaciągnięte mgiełką oko.

Zrobiłem przed siebie kilkadziesiąt kroków, a później wciąż z tym samym strachem, ale podejrzliwy już i ciekawy, przeszedłem na dru- gą stronę ulicy i zawróciłem, kryjąc się w bramie.

Pieniądże znikły. Mała, półleżąc, jadła buł- kę, starsza, wsparta plecami o mur, ziewała szeroko. Pod bluzką odznaczały się drobne piersi. W tej pozycji dzieci nie budziły litości. Przechodnie mijali je obojętnie, nie padła ani jedna peseta. Cóż jednak znaczy odpowiednia reżyseria!

Oto, na dany przez starszą znak, znowu u- kładają się do snu i pieniądze znowu zaczy- nają padać. Jakaś starsza kobieta wyciąga z

długowłowym wyrostkiem. Kiedy wkracza do akcji policja, tłum gwiżdże i krzyczy:

— Precz! Nie mają pracy, to zarabiają gra- niem!

Policja wycofuje się po chwili i trwa ta lu- dowa spontaniczna, przedświąteczna zabawa. Nieco dalej trzech kilkuletnich, zakatarzonych malców podryguje rytmicznie, jeden brzdąka na gitarze, drugi wali w bęben, a ten trzeci, najmniejszy, śpiewa tęskne flamenco, o tym, jak opuściła go ukochana kobieta, z którą przeżył tyle cudownych nocy. Ubawieni pano- wie i rozzuchłane panie nie skąpią datków. W ogóle, trzeba powiedzieć, że ulicznym grajkom lepiej wiedzie się niż żebrakom. Hiszpanie wy- chodzą z założenia, że ten co gra, choćby na

na murach jego reklamowe afisze. Jazz nie jest jednak w Hiszpanii zbyt popularny — ani to zatańczyć, ani zaśpiewać. Więc żona amery- kańskiego artysty, albowiem zawsze asystuje mu żona — śliczna, młoda, utleniona Hiszpan- ka z niemowleciem przy sercu, rusza z kape- luszem w tłum, żeby pobudzić trochę miłosier- dzie ludzi. Dobra muzyka i ładna matka, uś- miechająca się słodko, niewinnie do przechod- niów, przynosi w końcu pożądany efekt. Nie jest nachalna. Kobiety obserwują ze współczu- ciem jej naturalny, pozbawiony wstydu gest, kiedy siadając obok grającego męża na ka- miennej ławie i unosząc do góry sweter, za- czyną karmić dziecko piersią.

Okołice Puerta del Sol to występy wędrow- nych grup cygańskich (koza, małpa, bęben, dwie tańczące dziewczyny), to uliczna odmiana ruletki odrysowanej na składanym, turystycz- nym stoliku (kiedy nadchodzi policja, bankier ucieka z pieniędzmi, a jego pomocnik zatrza- skuje stolik i ustawia go pod ścianą), to małe sklepiki i kioski, gdzie sprzedaje się bilety na byki i futbol, to wreszcie nieskończona ilość barów, restauracji i kawiarni, które zsumia i huczą aż do późnej nocy, tak jakby mieszkań- cy Madrytu w ogóle nie kładli się spać.

Trzeba by zatem — nade wszystko — obwo- lać Puerta del Sol placem Radości. Tu właś- nie, między dwiema skromnymi fontannami, ustawiono przed świątami ogromną, oświetloną choinką. Żadne chyba miasto na świecie nie oszczędza tak energii elektrycznej jak Madryt, ale od połowy grudnia aż do siódmego stycz- nia władze miasta dają sobie odpust. Płoną za- wieszane lampionami ulice, płoną przystrojone żarówkami drzewa. Wielkie domy towarowe zamieniają Bramę Słońca w feerię barw i światła, w kramie muzyki i bajki; krążą po zaułkach święci Mikołaje; napędzane prądem, naturalnej wielkości słonie, lwy i niedźwiedzie tańczą sambę na skwerach, kursuje kolejka Disneylandu. Wieczorami, w promieniu paru kilometrów, tłok jest tak wielki, że trudno do- słownie zrobić swobodny krok.

Wróciłem do Madrytu drugiego stycznia, więc tylko z drugiej ręki wiem, że Puerta del Sol była również miejscem, gdzie lud stolicy ze- brał się w ogromnej ilości, aby śpiewem i szampanem powitać Nowy Rok. Tak samo hu- cznie obchodzono wieczór Trzech Króli. Dzie- siątki tysięcy ludzi z dziećmi na ramionach u- stawili się wzdłuż Calle de Alcalá, aby obser- wować istic karnawałowy orszak, który wyło- nił się z parku Retiro i podążał z wolna w stronę Bramy Słońca, gdzie nastąpił kulmina- cyjny punkt widowiska. Nigdy jeszcze, nawet w czasie Wyścigu Pokoju, nie widziałem ta- kich tłumów. Nigdy nie widziałem tak barw- nego spektaklu. Defilada koni i wielbłądów, pozamykane w kłatkach małpy i papugi, or- kiestry młodzieżowe i wojskowe, traktory i samochody ciągnące domy i zamki na kółkach, pociągi, w których toczyły się akcje bajek z 1001 nocy, na koniec wreszcie Trzej Królowie w swoich bogatych, lumnowanych karocach.

Przemówienie do madryckich dzieci wygło- sił właśnie Król Czarny. Treść tego przemó- wienia, wzruszająca i prosta, zdawała się po- twierdzać demokratyczne zmiany w Hiszpanii. Nazajutrz cytowała ją zresztą większość dzien- ników.

— Ja, Baltazar, który jestem Królem Czarnym, przesyłam wam wyjątkowo serdeczne pozdrowienia od wszystkich murzyńskich dzie- ci na świecie. Jak wiecie — wszystkie dzie- ci żyją w przyjaźni, dlatego też nie omieszkam w swoim czasie powiedzieć murzyńskim dzie- ciom, że wy także darzycie się przyjaźnią.

Nawet teraz, zimą, niewielki plac promieniu- je ciepłem i ludźmi, którzy zbierają się na nim każdego wieczoru, są dla siebie grzeczni i u- przejmi. Obserwując Puerta del Sol, trudno uwierzyć, że w Madrycie toczy się walka politycz- na, że jest tyle wrogich sobie orientacji i ugrupowań. Zwalczające się wzajem plakaty na murach wydają się nierealne. Chwilami je- dnak słyszysz ryk karetki policyjnej albo wi- dzisz manifestujący tłum i wówczas budzi się w tobie refleksja. Dużo spraw mają jeszcze do załatwienia Hiszpanie.

ANDRZEJ MAKOWIECKI
Foto: J. Katarasiński

BRAMA SŁOŃCA

KORESPONDENCJA Z HISZPANII

dzień długi, od wczesnego ranka aż po późny, chłodny wieczór, każdy na swoją osobliwą modłę swoje osobliwe reklamy:

— Loteria para la extraordinaria! (wyjątko- wa)

— Para hoy, para hoy! (wyniki ukażą się dzisiaj)

— Para mañana, mañana sale! (jutro)

— Para la Navidad! (święta)

— Una vida y seis numeros (Jedno życie i

aż sześć końcówek banderoli)

— Lleve los ultimos, por suertel (weź pan te ostatnie, a przyniosą panu szczęście).

Loteria, podobnie zresztą jak bingo i ulicz- ne, nielegalne gry hazardowe, jest wielką na- miętnością Hiszpanów. Nie wszyscy jednak ku- pują losy u niewidomych. Są tacy, którzy wo- lają ustawić się w kolejce do kiosków i oficyn, w których przecież, trzeba przyznać, wywieszono napisy: — Nie graj, dając kiję ślepiecom! Zwróć się do nich, znają różne systemy i po- moga ci zdobyć fortunę.

Bramę Słońca i odbiegające od niej uliczki można by także nazwać Okolicą Żebraków. Na rogach, w zaułkach, pod murami widzi się, obok nierzadkich raczej przypadków kalectwa sporo ludzi zdrowych, którzy „piden limosna”. Ostrzegano mnie przed nimi. Podobno wiedzie im się całkiem nieźle i w ten sposób dorabiają do pensji. Tak czy siak boli serce, kiedy prze- szliżuje się wzrokiem po niemowlakach leżą- cych obok matek na gołych chodnikach, po smykach, którzy dźbią w nosie, podczas gdy ich rodzice, przędyptują stopami tekturowe ta- bliczki. Notuję:

— Żona zostawiła mnie z tym oto dzieckiem na pastwę losu. Pomóż mi; jeśli masz Boga w sercu!

— Jestem wdową z tymi oto dwiema sierota- mi.

— Wyrzucono mnie z pracy.

— Nie mam stałego zajęcia.

— Jestem bezdomny.

portmonetki sto peset i wciskając je w rękę dziewczynki, próbuje ją jednocześnie obudzić. Sto peset, to jest niezły grosz, szkoda, żeby padł tułum szakala. Smarkula jednak konse- kwentnie udaje, że śpi. Jeśli otworzy oczy albo zmieni położenie ciała, czar prysnie. Dopie- ro, kiedy kobieta odchodzi, mała, brudną rącz- ką zwinia pieniądze do kieszeni.

Nazajutrz widziałem je w innym punkcie Puerta del Sol. Ku szczeremu zaskoczeniu od- notowałem, że wypisany na tabliczce tekst także brzmi inaczej. Tym razem reżyser — bo musiał się chyba za tym kryć jakiś star- szy, doświadczony człowiek, uśmiercił mamu- się, zaś obłożnie chorego tatusia umieścił w szpitalu. Ludzie nie szczędzili peset, padały pięćdziesiątki, setki, aż do chwili, kiedy dzie- czynki nie „przeknęły się” nagle i nie usia- dły.

Ktoś, bardziej spostrzegawczy ode mnie, za- uważał półgłosem:

— Boże, przecież one są nie od pary!

I miał rację. Małaństwo, blondyneczka o niebieskich oczach, przypominająca Szwedkę; starsza, śniada, czarnowłosa, była bez wątpie- nia Cyganką.

Przystaje również do Bramy Słońca określe- nie Raj Muzykantów. Z tym, że obok tych pierwszych, niedouczonej grajków, spotyka się także tu i ówdzie prawdziwych wirtuozów, przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych. Ci pierwsi rzepolą na klasycznych gitarach, skrzypcach, powyginanych trąbkach i pu- zonach, ci drudzy dysponują elektrycznym sprzę- tem. Tym pierwszym przysłuchują się tłumy, grają bowiem z niebyszym gazem flamenco, fandango, sevillanę i inne ludowe melodie. Są pełni humoru i pogody ducha; zarażają tym słuchaczy, którzy ni stąd ni zowąd ruszają w tany; znajomi i nieznajomi, sześćdziesięcioletni grubi i niziutki pan z wysoką i szczupłą dwudziestoltnią senioritą, korpulentna dama z

ulicy, nie jest zwykłym pasażerem, pracuje, wykazuje się jakąś umiejętnością i dlatego warto mu pomóc.

Trochę gorzej przedstawia się sprawa ame- rykańskich wirtuozów. Jeden z nich, tegi blon- dyn o długiej, lwiej, falistej czuprynie, gra, bez przesady, na średnim poziomie. Sam albo z in-



nym gitarzystą usadawia się zwykle na kamien- nej ławie przy Galerías Preciados; ma przy- woły wzmacniacz, dwie kolumny, improvizuje z zamkniętymi oczami, autentycznie wsluchany w muzykę. Na pieniądze, która wpadają z rzadka do futerału, zdaje się nie zwracać uwa- gi. Artysta. Gdzieniedzie zresztą widuje się

NIE TYLKO HISTORIA

O zamachu na Hitlera, dokonany 20 lipca 1944 r., napisano wiele książek naukowych i beletrystycznych, wydano mnóstwo artykułów i repor- taży, nakręcono sporo filmów. Jeśli jednak historycy nie przestają się zaj- mować dziejami sprysiężenia, którego duszą był płk. hr. Claus von Stauff- fenberg, dzieje się tak z pewnością nie dlatego, aby mieli oni ochotę powta- rzać w kółko to wszystko, co tak już wiadomo. Dzieje spisku i nieudanego zamachu na wodza III Rzeszy kryją bowiem w sobie wciąż wiele tajem- nie, domagających się wyjaśnienia. Wynika stąd potrzeba intensywnych i wielostronnych badań naukowych, pro- wadzących do nowych ustaleń i hypo- tez, niezbędnych dla rozszerzenia na- szej wiedzy o tym znaczącym epizo- dzie z dziejów III Rzeszy, dla zobiek- tywizowania naszego historycznego są- du. Bowiem właśnie w sferze ocen rozbieżności są największe, skoro za- mach z 20 lipca 1944 r. jest dla wielu Niemców jakąś tradycją; dla jednych bezwzględnie pozytywna, dla drugich taka, która należy poddać subtelnej krytyce, dla trzecich wreszcie — nie ukrzywamy, że są i tacy — godna surowego napiętnowania. Czytelnik z łatwością sam podłożył sobie pod te skale sądów ich polityczne podteksty: nie ma co do tego wątpliwości, że po- gląd na zamach 20 lipca 1944 r. ma być wspólny z historią, co i z po- lityką, i to nie tylko z tamtą sprzed wielu przeciętów lat.

Tym razem o sprysiężeniu 20 lipca napisał książkę historyk z NRD. Sie- gamy po nią z tym większym zaintere- sowaniem, że piśmiennictwo historycz- ne naszych sąsiadów zza Odry do niedawna nie zajmowało się zbyt in- tensywnie tą problematyką, a propo-

nowane przez nie sądy były niejako ustabilizowane i — co tu ukrywać — dla naszych historyków dyskusyjne. Historiografia NRD rozwijała jednak w ostatnich latach intensywnie bada- nia nad faszyzmem, które poczęły przynosić coraz to ciekawsze rezultaty. Przykładem niech będzie wspomniana już przeze mnie kiedyś na tym miej- scu kapitalna książka Joachima Petzolda o konserwatywnych prekursorach niemieckiego faszyzmu, wydana w 1978 r., a będąca marksistowską odpo- wiedzią na, znaną również i u nas,

chwilę nad ich współczesnymi cecha- mi.

Pokusił się w końcu o ocenę. Trudno nie zgodzić się z K. Finklerem, że „tragiczny upadek Stauffenberga i jego przyjaceli świadczą dobitnie o tym, że „rewolucja pałacowa” nie mo- gła rozwijać zasadniczych sprzeczności z Niemcami”. Trudno odmówić historykowi racji, gdy powiada on, że w stosunku do czynu Stauffenberga sprawdza się raz jeszcze stara teza, że „w warunkach reżimu terroru na- cjonalistycznego nawet najlepiej zor-

„poglady postępowej części uczestni- ków spisku były podobne do pogła- dów oficerów i żołnierzy zgrupowa- nych wokół Komitetu Narodowego „Wolne Niemcy”. Ogólna ocena K. Finkera brzmi następująco: „Stauffenberg i jego przyjaciele nale- żeli do grupy antyfaszystowsko-demo- kratycznej, zorganizowanej przez na- lepsze siły narodu niemieckiego”. Po- glądy Stauffenberga „są nad wyraz ciekawą formą obrony humanizmu, demokracji, ukstałowanych przez wieki i obowiązujących w życiu syste-

obu tych pojęć: patriotyzm i ruch o- poru, zdają się nie przylegać do histo- rii Niemców”. To, co o niej wiemy, skłania raczej do „skolaryzacji nega- tywnych”. Pytając: „czy wolno uży- wać nazwy „ruch oporu” dla działań ludzi takich, jak Stauffenberg”? F. Ryska postawił problem zaiste zasadniczy. Podkreślił, że przywykli- my raczej powiadać o „opozycji” — a to nie to samo, co „ruch oporu”. Po- wiedział jednak, że zdanie to gotów jest głosić „ale już z pewnym zastrze- żeniem czy pewnym wyłomem”. A to dlatego, że go przekonał Kurt Fin- ker. Może nie we wszystkim, ale wszakże. Po przeczytaniu książki niemieckiego historyka — bardzo prze- ciw krytycznej i w niejednym obra- chunkowej — polski uczyony powiada, że „nie powinniśmy się wdragać, kie- dy autor nazywa swego bohatera pa- triotą”. Arystokrata i zawodowy wojs- kowy wysokiego stopnia przeszedł w życiu „wiele srogich doświadczeń, wie- le rozczarowań i dzieki własnej intelli- gencji oraz wrażliwości umysłu potra- fił się zmieniać. Stauffenberg, który podłożył bombę i który zginął odważ- nie pod kulami plutonu ezekucyjnego, nie był tym samym młodym ofi- cernem, który cieszył się z sukcesów o- reża hitlerowskiego w Polsce”. Czy K. Finkler wszystkich przekona do wszystkich swoich tez? Chyba nie o to chodzi. Oddając tę arcyciekawą książkę do rąk polskiego czytelnika trzeba ufać — jak powiada F. Ry- ska — jego dojrzałości. A historię — tę poważną — pisze się właśnie dla ludzi dojrzałych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

STAUFFENBERG I INNI

świetną pracę amerykańskiego bada- cza George'a L. Mosse'a o kryzysie nie- mieckiej ideologii. Godnym uwagi przykładem nowych badań historyków NRD nad dziejami faszyzmu jest wy- dana właśnie u nas w tłumaczeniu polskim (Czytelnik 1979) książka Kurta Finkera pt.: „Stauffenberg i za- mach na Hitlera”, będąca monografią sprysiężenia 20 lipca 1944 r. W opar- ciu o szeroką dokumentację źródłową — oprócz różnorodnych dokumentów, autor wyżyłkował tu ustne relacje osób, które w ten bądź w inny sposób otar- ty się o spisek — historyk z NRD zre- konstruował genezę i rozwój sprysię- żenia, ukazał jego zasięg, rozpatrzył krag osób, które w nim uczestniczyły, zwracając uwagę na dziejące ich roz- bieżności, zreferował dramatyczny przebieg wydarzeń, zatrzymując się na

ganizowane powstanie oficerskie nie mogło zakończyć się sukcesem”, jeśli nie oparło się o szerszą podstawę spo- łeczną. Istotnie, choć osobista odwa- ga zamachowców napawa czytelnika tej książki szacunkiem, nie może on nie dostrzec ogromnej naiwności spiskow- ców, wierzących, iż wszystko da się załatwić przy pomocy rozkazów, pole- ceń i telefonów...

K. Finkler nie proponuje swemu czytelnikowi — rzecz jasna — ja- kieś apologetyki Stauffenberga, choć wy- raźnie — i chyba zasadnie — oczyszcza go z szeregu zarzutów, jakie podno- szono w stosunku do niego w dotych- czasowej literaturze. Uczony wskazu- je, że nie było przypadkiem, że Stauf- fenberg nawiązał kontakt z przywód- cami KPD w Berlinie, podkreśla, że

mów wartości i norm moralnych. Stauffenberg chciał uratować naród niemiecki przed faszyzmem i skutka- mi agresywnej polityki, chciał stwo- rzyć patriotyczny front wszystkich sił demokratycznych łącznie z komunistami”.

Znakomity nasz historyk i politolog Franciszek Ryśka, który poprze- dził polskie wydanie tej książki krót- ką przedmową, podkreśla, że jest to „książka o losach niemieckiego patrio- ty i zarazem historia walki z tyra- nią”. Jest to biografia człowieka, który „chciał zabić Hitlera”, i monografia podziemnej walki z hitleryzmem: naz- wiemy tę walkę po prostu ruchem o- poru”. Polski uczyony zdaje sobie spra- wę, że nasz czytelnik „może się za- dziwić lub zżymać. Nasze własne do- świadczenia, które legły u podstaw

Już od dłuższego czasu w Salwadorze, tej najmniejszej republice w Ameryce Środkowej (20,1 tys. km kw., 4 i pół miliona mieszkańców), wrze, jak w gotującym się kotle. We wrześniu ub. roku odbyły się potężne manifestacje w San Salwador, stolicy kraju i Santa Anna. Tysiące robotników, urzędników i studentów żądało dymisji dyktatora, Carlosa Humberto Romero i oddania władzy rządowi demokratycznemu. W San Miguel mieszkańcy okupowali koszarę gwardii narodowej. Policja użyła broni, żeby rozprężyć tłumy — byli zabici i ranni. Reporter „Newsweek” pisał wówczas: „Nie ulega wątpliwości, że Salwador dojrzał do rewolucji”. Istotnie, na samym początku 1980 roku grupa wojskowych odsunęła od władzy dyktatora, co spowodowało ogromne zmiany w układzie sił politycznych w kraju.

W kołach postępowych wyraża się opinię, że młodzi oficerowie, którzy dokonali

W konsekwencji naród z coraz większym niedowierzaniem odnosi się zarówno do junty, jak i do młodych oficerów, którzy już w momencie październikowego przewrotu — o czym mówi się dziś zupełnie otwarcie — „zawarli porozumienie z najbardziej reakcyjnymi ugrupowaniami w siłach zbrojnych, związanymi z ambasadą USA”. Komentator gazety „La Libertad” (Kostaryka) pisze, że „następstwa tego porozumienia są z każdym dniem coraz bardziej widoczne”.

W tym właśnie kontekście siły lewicowe rozpatrują wejście przedstawicieli prawicowego skrzydła partii chrześcijańskiej demokracji w skład koalicji rządowej. Kwalifikują one tę nową koalicję — jak informuje nikaraguańska gazeta „Prensa” — jako „manewr amerykańskiego imperializmu w Salwadorze, żeby przy jego pomocy, za wszelką cenę zahamować ruch mas na-

giętkiej taktyki. Zarówno komunistki jak i EZDN nie wyrażają się o walce zbrojnej, ale uważają, że należy ją rozpocząć dopiero wtedy, kiedy pozwoli na to sytuacja.

Jak informuje kubański dziennik „Granma”, Rewolucyjna Komisja Koordynacyjna, będąca wynikiem zespolenia wysiłków sił patriotycznych, „wezwała ludzi pracy i cały naród Salwadoru do wzięcia udziału w manifestacji protestu przeciwko spiskowi profaszystowskich zmiłizowanych ugrupowań, które, otrzymując za wiedzą władz, pomoc od doradców amerykańskich, byłych somozistów i najemników z kręgu bandytów byłego podłudniowietnamskiego dyktatora Ngo Dinh Diema, „gospodarują” w kraju, jak gdyby dotąd rządził nim dyktator Romero...”

Manifestację, za zezwoleniem junty, wyznaczono na dzień 22 stycznia. Tego dnia, w 48 rocznicę krwawo stłumionego powstania ludowego (w którym zginęło z górą 30 tys. robotników i chłopów), ponad 150 tysięcy ludzi wyszło na ulice San Salwador. Manifestacja rozpoczęła się w oznaczonym czasie — w południe. Kiedy wydawałoby się, że już cała ludność stolicy wyległa na ulice, z nieba bez jednego obłoku spadł nagle na manifestantów grad ołowiu. Pociski kosły ludzi wszędzie, a najobficiej na placu Libertad. Śmigłowce i opancerzone transportery prowadziły nieprzerwany ogień z karabinów maszynowych. Skutek: 67 zabitych, 250 rannych!

„Dramatyczne wydarzenia z 22 stycznia 1980 roku potwierdziły obawy tych działaczy, którzy oceniali odsunięcie od władzy dyktatora Romero jako pułapkę amerykańskiego imperializmu — pisał korespondent „Granmy” — za manewr obliczony na oszukanie społeczeństwa Salwadoru i przeszkolenie mu w rewolucji. Potwierdziły one również i to, przed czym organizacje demokratyczne nieraz przestrzegały: władze pobieżają rozpazaniu profaszystowskich band pozostających na służbie reakcji i imperializmu”. „L’Humanite”, opisując jak policja ostrzelała z broni maszynowej uczestników największej w Salwadorze manifestacji, podkreślała: „Wielu naczynych świadków, z którymi udało nam się połączyć telefonicznie, opowiadało, że za plecami policjantów krył się cudzoziemiec zaopatrzony w przenośne stacje nadawcze”. Komentatorzy różnych odcinków pism, wstrząśnięci tymi wydarzeniami, zadają pytanie: „Kto koordynuje działalność sił, które chcą zachować reżim Romero bez samego Romero”.

Korespondent hiszpańskiej agencji prasowej, „Agencia E-ditorial Falange Española” (EFE), donosił 27 stycznia z San Salwador, że junta usiłowała zrzucić z siebie winę za zabicie uczestników manifestacji i obciążyć nią „grupy ekstremistyczne”. Na konferencji prasowej trzech, spośród pięciu, członków junty mówili, że „tragiczne wydarzenia, z powodu których rząd składa ubolewanie, spowodowały siły zainteresowane w utrzymaniu ogólnego zamętu...”

Obecnie, w atmosferze niezwykłego napięcia, wzajemnych wyrzutów, intryg i oskarżeń, w siłach zbrojnych tego kraju toczy się bezlitosna walka o władzę. O władzę, która daje możliwość decydowania o kierunku i skali przeobrażeń obywateli narodowi w ubiegłym roku po rozstaniu się ze zniechęconym dyktatorem.

JERZY CZECH

... Polska reprezentowała gawrze konstruktynne stanowisko, podejmując sprawy pilne i istotne, dojrzałe do rozwiązania...”

Te słowa z referatu programowego Biura Politycznego na VIII Zjazd PZPR mogą być mottem dla nowej polskiej propozycji, która padła z trybuny zjazdowej i z miejsca odbiła się szerokim echem w świecie. Jest ona właściwie konkretyzacją ubiegłorocznej inicjatywy państw Układu Warszawskiego, aby zwołać konferencję w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Teraz dopowiadamy, aby porozumienie o jej zwołaniu osią-

TYDZIEŃ W POLITYCE

gnięte zostało w trakcie madryckiego spotkania przedstawicieli państw — sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE, — które — jak wiadomo — odbyło się jesienią br. Wyrażamy też gotowość gościnności konferencji w stolicy Polski.

„Byłoby to zaszczyt dla naszego kraju, urastającego do rangi symbolu — powiedział Edward Giersek. — Warszawa, której okupant zgotował tak okrutny los, tętni dziś pokojową, twórczą pracę. Byłaby więc godnym i właściwym miejscem dla odbycia tak ważnego spotkania międzynarodowego”.

Problem rozbrojenia, co wciąż podkreślamy, jest dziś najważniejszym odcinkiem frontu walki o pokój. Obecny, zatruwany przez kółka imperialistyczne, klimat międzynarodowy nie powinien być przeszkodą dla odbycia takiej konferencji. Nawet więcej — jej zwołanie mogłoby odwrócić korzystnie proces odchodzenia od odprężenia, podjęty przez Waszyngton, a przecież nie znajdujący jednoznacznego wsparcia u europejskich sojuszników Stanów Zjednoczonych.

W Europie, mimo aktualnych powikłań w sytuacji światowej, nie została naruszona żadna z dotychczasowych, z trudem i przez lata budowanych, struktur pokojowych. Tętno dialogu między państwami, funkcjonującą porozumienia dwu i wielostronne, ma miejsce współpraca gospodarcza, naukowa, kulturalna... Jest więc kanwa, na której można podjąć wielostronną dyskusję na temat powstrzymania zbrodni i zapoczątkowania odprężenia militarnego.

Konferencja rozbrojeniowa jest tym koniecznej-

tracyną dla więźniów politycz-

nych. I tu właśnie spotykają się główni bohaterowie naszego filmu — przedstawiciele różnych grup społecznych — wszyscy bez względu na przekonania uznani za politycznych przestępców. Oto Don Lorenzo (Paweł Ka-

sza, że przecież mają miejsce nowe fakty militarne, powiększające niebezpieczeństwo na naszym kontynencie. Mamy tu oczywiście na myśli decyzję NATO o produkcji i rozmieszczeniu w Europie zachodniej nowego typu broni, rakietowo-jądrowej, które to postanowienie podjęte zostało wbrew ostrzeżeniom wspólnoty krajów socjalistycznych i — co przypominamy — na przekór radzieckiej propozycji, aby na ten temat przystąpić natychmiast do rokowań.

Formułując propozycję zwołania europejskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych państw Układu Warszawskiego wymieniali następującą tematykę: notyfikację większych ruchów wojsk i dużych ćwiczeń sił powietrznych oraz marynarki wojennej, przeprowadzanych w pobliżu państw uczestników helsińskiej konferencji, nierozszerzanie ugrupowań polityczno-wojskowych w Europie, ograniczenie ilościowe pułapów ćwiczeń oraz objęcie środkami zaufania rejonu Morza Śródziemnomorskiego.

„Zadanie polega na tym — czytamy w komunikacie z obrad ministrów w maju ub. roku — aby już w najbliższym czasie przystąpić do rozpatrzenia i uzgodnienia praktycznych środków tego rodzaju, co sprzyjałoby umocnieniu zaufania między państwami w Europie, osłabieniu konfrontacji militarnej, a następnie zmniejszeniu koncentracji oraz redukcji sił zbrojnych i zbrojeń na tym kontynencie. Państwa reprezentowane na posiedzeniu proponują zwołanie w tym celu konferencji na szczeblu politycznym z udziałem wszystkich państw europejskich, USA i Kanady”.

Do tej właśnie inicjatywy powróciliśmy na Zjeździe partii, wyrażając gotowość gościnności konferencji w Warszawie, która przecież tak wiele ma do powiedzenia w sprawach wojny i pokoju. Czas, w jakim odnowiliśmy i skonkretyzowaliśmy propozycję, ma duże znaczenie. Sugerujemy nawiazać znowu dialog na płaszczyźnie możliwej do przyjęcia przez wszystkich, a więc stworzyć warunki doświadczenia do głosu realizmu i rozsądku. W ostatnich tygodniach po stronie zachodniej, a zwłaszcza w USA, częściej bowiem słyszy się głosy zinnowojenne, zapowiedź prowadzenia polityki z pozycji siły, przyspieszenia zbrojeń, zakłócania normalnych stosunków... Górze biera tu i tam tendencja antyodprężeniowa. Wyliczyć je można i trzeba rozwinięciem konstruktynnego dialogu podjęciem próby rozwiązania bardzo nekajacego społeczeństwa problemu zbrodni.

Już z pierwszych reakcji różnych stolic można wnioskować, że propozycja polska trafia na podatny grunt polityczny i jest przedmiotem szczególnych analiz. Wywołała ona także duże zainteresowanie Komitetu Rozbrojeniowego w Genewie, który obraduje z udziałem przedstawicieli rządów 40 państw.

W. ŚLAWSKI

SAN SALWADOR

ROZSTRZELANA MANIFESTACJA

przewrotu oraz wojskowo-cywilna junta, utworzona w konsekwencji tego przewrotu, nie są w stanie przeprowadzić procesu demokratyzacji kraju. Lewicowe organizacje rozszerzają tę opinię o jeszcze jeden ważny element, mianowicie, że obecna junta nie chce przeszkodzić w krystalizowaniu się spisku oligarchii i imperializmu. Po niedługim okresie względnego spokoju, który ustabilizował się w końcu grudnia i na początku tego roku, armia i organa represji znów rozpoczęły masowy terror. Na znak protestu trzech cywilnych członków rządzącej junty i niemal wszyscy ministrowie podali się, w początkach stycznia br. do dymisji. Dwóch wojskowych członków junty, pułkownicy: Machano i Hunterres — wprowadzili do junty liderów partii chrześcijańsko-demokratycznej. W ten sposób kołeczko nowego rządu stanowią chrześcijańscy demokraci.

Działacze organizacji lewicowych podkreślają, że obietnice władz wprowadzenia w życie głębokich zmian społeczno-ekonomicznych okazały się pustym dźwiękiem. Kiedy po pierwszym oszołomieniu wydarzeniami miejscowa oligarchia doszła do siebie, rozpoczęła natychmiast gwałtowną kampanię przeciwko decyzjom zmieniającym do demokratyzacji życia w kraju. Ostatecznym celem tej akcji jest ponowne, pełne podporządkowanie sobie armii. Grupa wielkich obszarów związanych z zagranicznym kapitałem finansowym zakupiła wielkie ilości broni w zaprzyjaźnionych z nią krajach, a przede wszystkim w USA, i wydaje miliony na przekupywanie wyższych dowódców wojskowych.

W połowie stycznia siły zbrojne i gwardia narodowa, zaniepokojone faktem, że organizacje demokratyczne coraz bardziej skłaniają się do idei stworzenia sojuszu wojskowo-politycznego, nasiliły represje.

rodowych walczących o stworzenie w kraju sprawiedliwych rządów demokratycznych”. 18 stycznia ta samagazeta pisała — jej korespondent przebywał w tym czasie w Salwadorze — że w najbliższych miesiącach starcia między ultraprawicą a organizacjami narodowymi z pewnością przybiorą na sile. Zdaniem korespondenta „Prensy”, może to doprowadzić do wojny domowej.

Informacje z Salwadoru przenikają z dużym trudem, niemniej nawet i te skąpe wskazują na aktywizację walki politycznej. Niedawno w San Salwador odbyła się manifestacja, jakiej dotąd kraj nigdy nie oglądał. Ponad 150 tysięcy ludzi szeroka rzeką przetończyło się ulicami i bulwarami stolicy. Wyszedł na manifestację na wezwanie dopiero co powstałej Rewolucyjnej Komisji Koordynacyjnej, do której weszli przedstawiciele największych lewicowych organizacji. Organizacje te są już od dawna dobrze znane. Praktycznie, każda z nich ma swoje na wpół legalne siły zbrojne, w odróżnieniu od samych organizacji politycznych, działających już legalnie od 25 października ub. roku. Do najbardziej aktywnych należą: Liga Narodowa 28 Lutego (LN 28), Narodowy Blok Rewolucyjny (NBR), Front Zjednoczonego Działania Narodowego (FZDN) i Komunistyczna Partia Salwadoru (KPS).

Już w czasach panowania reżimu gen. Romero, LN 28 i popierające ją grupy bojowe, nazywające siebie Rewolucyjną Armią Narodu, dążyły do natychmiastowego powstania zbrojnego „za każdą cenę”. NBR i jego zbrojne oddziały — Narodowe Siły Wyzwolenia Im. Farabundo Martí — wychodzą z założenia, że walka o wyzwolenie Salwadoru będzie przewlekła i nie uważają walki zbrojnej za środek główny i jedyny. Front Zjednoczonego Działania Narodowego proponuje maksymalne stosowanie wszystkich form walki oraz

DZIEŁO CHILIJSKIEGO FILMOWCA

Wszyscy oni muszą dogłębnie zrewidować swe poglądy, uporać się ze złożonymi problemami politycznymi i moralnymi. I to wywołanie zależne od całkowitej jednoci poczynają. Tylko silne i zdecydowane mogą liczyć na zwycięstwo nad faszyzmem. Tak więc „Santa Esperanza” to swego rodzaju metafora i umowność. Chcieliśmy w naszym filmie — stwierdza S. Alarcón — wyświecić poza ramy konkretnych faktów politycznych w kierunku artystyczno-filozoficznych uogólnień. Dlatego z rozmysłem nie daliśmy naszej starej górniczej osadzie określonego adresu geograficznego — wydarzenia, które dzieją się na filmie są odbiciem procesów charakterystycznych dla wielu krajów Ameryki Łacińskiej.

niej niż z francuską. Mieszkali u nas w Liege niezbyt zamożni, ale chcieli wiedzy rosyjskiej student. Dzięki nim poznałem dzieła Puszkina. Ale największy wpływ miał na mnie Gogol. Jeśli chodzi o Dostojewskiego, choć to pana może zdziwić, z całej jego twórczości najbliższe wrażenie zrobił na mnie jego „Pamiętnik pisarza”. Pod wpływem „Matki” Gorkiego napisałem książkę „Listy do matki”. Więc, jak pan widzi, Gogolejskie były bliskie...

Z SIMENONEM NIE TYLKO O KRYMINALACH

Czasopismo „Literaturna Gazieta” podjęło interesującą inicjatywę publikowania rozmów pisarzy radzieckich z ich zagranicznymi kolegami. W czasie swego pobytu w Szwajcarii Julian Siemionow spotkał się z twórcą „Maigretów” i innych poczynnych powieści Georgesem Simenonem. Oto fragment ich literackiej biesiady:

— Czytelnicy w Związku Radzieckim i niewątpliwie wielu innych krajów byli bardzo zafascynowani, kiedy rozszalał się pan z komisarzem Maigretem.

— W ubiegłym roku minęło 50 lat od powstania pierwszej książki o przygodach Maigreta. Napisał ją w ciągu jednego dnia, ani przez chwilę nie przyspuszczając, że Maigret zdobędzie aż taką sławę. Miałem wówczas 28 lat i... pustkę w kieszeni. Pracowałem długi czas jako reporter, prowadząc kronikę policyjną. Wkrótce napisałem następną powieść pt. „Piotr-Lotysz”. Była to już rzecz z większymi ambicjami, a mój komisarz stopniowo nabierał coraz więcej osobowości, przejmując ode mnie moje myśli i nawet cechy charakteru.

— Tym większa szkoda, że zakończył pan ten cykl...

— Jako kolega powinien mnie pan zrozumieć. Ja po prostu przestałem odróżniać siebie od Maigreta...

— „Maigretów” często przenosi się na ekran. Jak się pan odnosi do tych adaptacji?

— Rzadko je oglądam i bez większej satysfakcji. Ale były i dobre ekranizacje. Najlepszym Maigretem był oczywiście Jean Gabin, udane kreacje stworzyli także Pierre Renoir i Rosjanin Borys Tienin.

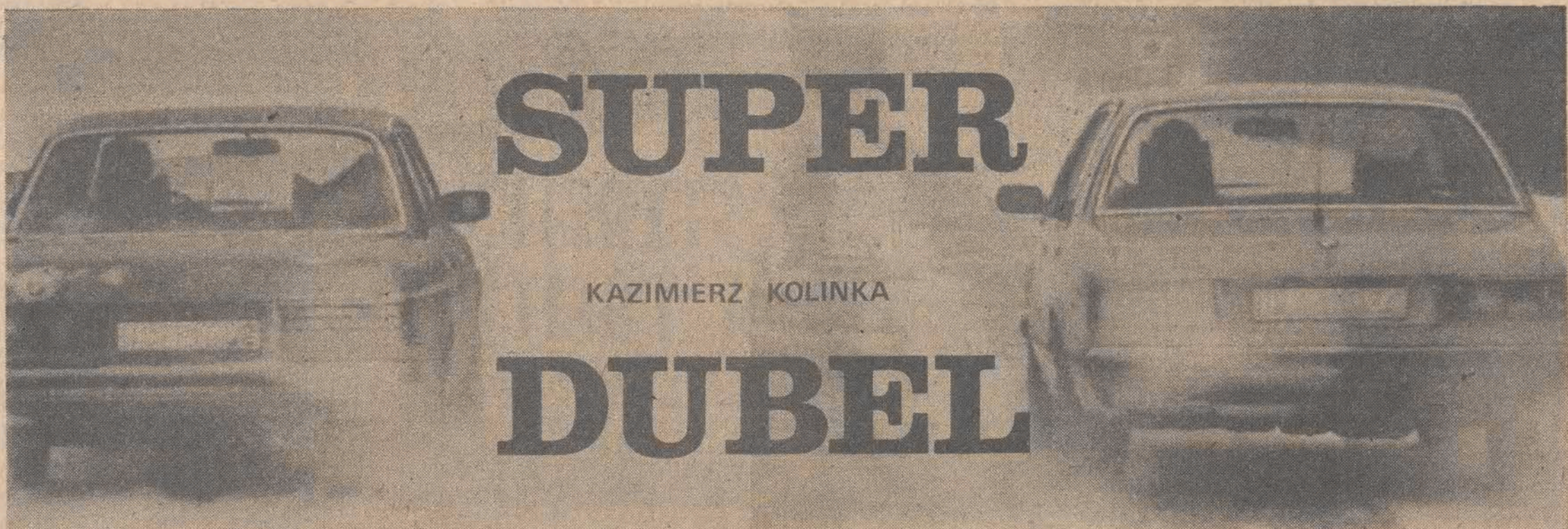
— A propos Rosjan... O ile mi wiadomo, na pańska osobowość twórczość miała również wpływ i rosyjska literatura, czy tak?

— Z literaturą rosyjską zaznajomiłem się wczes-

— To jest bardzo trudne pytanie, dlatego ograniczę się do paradoksu. Najczęściej sięgam po „Dzienniki” braci Goncourtów, których zresztą nie lubię... Należą oni do obecnej mi „wytwornej” szkoły literackiej. Co gorsza, sam kiedyś holdowałem tej szkole, pisząc elegancyjno-powierzchniowe powieści. Jednakże „Dzienniki” Goncourtów są niezwykle interesujące, ponieważ zawierają masę spostrzeżeń w zakresie profesji pisarza i procesu twórczego. Zresztą różnego rodzaju pamiętniki, wspomnienia i dzienniki zawsze były moją najulubieńszą lekturą. No, ale dość o tym. Teraz ja z kolei zapytam o coś pana... Jak u was, w Związku Radzieckim powodzi się uprawianiem przez nas obu gatunku, który niesłusznie nosi niezbyt chlubne miano „kryminału”?

— W ostatnich latach stosunek do niego wyraźnie się zmienił. Tolerancje zastąpiło poważniejsze traktowanie. Chociaż trzeba przyznać, że tu i ówdzie zachowało się jeszcze podejście do powieści kryminalnej jako gatunku drugorzędnej, stojącego na poboczu wielkich magistrali rozwoju literatury.

— Wynika to z braku kompetencji. Człowiek kompetentny nigdy tak nie powie, ponieważ z pewnością nieobca mu jest klasyka i greckie tragedie. A tam bohaterowie obnażali się duchowo pod wpływem ekstremalnych dla nich sytuacji. To samo dzieje się w powieści kryminalnej. My, pisarze, obserwujemy bohatera właśnie w krytycznym momencie. Jesteśmy podobni do lekarzy, którzy muszą wstrząsnąć skalpelem w szorstkie miejsce i odkryć istotę choroby. Chodzi jednak o to, że nie ślepi, nie wszyscy pisarze tak postępują. Zbyt często często w uprawianiu przez nas gatunku, przepłatają się dwa pola: „pisarz” i „literacki wyrobnik”. Ale na to już nie ma rady...



KAZIMIERZ KOLINKA

SUPER DUBEL

Miał to być film sensacyjny. Ta scena w scenariuszu była niezwykle prosta.

Para szpiegów dokonała kradzieży supertajnych dokumentów i uciekała samochodem w kierunku granicy. Po drodze mieli zamienić samochód, aby zmylić ewentualną pościg. Chytry kontrwywiad dostatecznie wcześniej zorientował się w sprawie — za przestępcą parą w pewnym oddaleniu jedzie samochód milicji. W takim stanie rzeczy zamiana samochodów w czasie postoju stała się niemożliwa.

Sześć szpiegowskiej centrali podejmuje decyzję. Na trasę wyjeżdża identyczny samochód z podobnymi ludźmi. Zamiana załóg ma się odbyć błyskawicznie w czasie manewru wyprzedzania, na oczach jadących z tyłu milicjantów.

Scena jasna i prosta. Do jej wykonania potrzeba czterech kaskaderów. Czytam i powoli zaczyna narastać we mnie wewnętrzne dygotanie. To zawsze tak, kiedy zaczynam przygotowywać się do roli. Denerwuję się kilka dni przedtem, zanim rzeczywiste niebezpieczeństwo nastąpi.

Wiem już, jak to zrobić. Potrzebuję jeszcze dwóch pasażerów. Kierowca do drugiego auta już jest — to mój przyjaciel, Bogdan. Za kółkiem tylko z nim mogę spać spokojnie. Wiem na co go stać.

Po paru godzinach telefonicznych poszukiwań mamy brakującego dwójki „kamikaze” — chłopca z przeszłościem komandoskim aż pała się, aby nam otrzaskanym już kaskadom, pokazać swoje umiejętności.

Na razie wierzymy im na słowo. Przygotowania zaczynamy od wyboru aut. Według scenariusza miały to być wozy sportowe (dwudrzwiowe). Nie zgadzamy się na to. Potrzebujemy dwu identycznych samochodów czterodrzwiowych.

Po dyskusji z reżyserem stanęło na tym, że dostaniemy dwa Fiaty 125p Akropol z silnikami 1.800 ccm i 5-biegową skrzynią biegów.

Przyprowadzili auta. Mamy trzy dni.

Kilkadziesiąt kilometrów za miastem znajdujemy stare pasy startowe. Próbowujemy.

— Trzy, dwa, jeden, start — krzyczę przez otwarte okno. Jedynka już wkieśzowana, trzymam sześć tysięcy obrotów. Strzelam ze sprzęgła, rwiemy do przodu. Zmieniam biegi bez zdejmowania nogi z gazu. Dwójka, trójka, idziemy lew w lew, czwórka, piątka — ta sama sytuacja. Do końca pasów jeszcze trzysta metrów, muszę tego skubańca ogrzać, ale jak? Zrobię rzut bokiem. Ciekawy jestem, czy pójdzie na to? Suchy beton ma dużą przyczepność, żeby rzucić auto w ślizg, trzeba stu kilometrów na godzinę. Przy mniejszej prędkości może mnie postawić na dach.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów do końca pasa. Już! Redukuję do trójki, rzucam sterem w lewo i podcinam ręcznym hamulcem. Kątem oka widzę 110 na liczniku. Zerwał, poszedł w

ślizg. Prawą ręką spuszcza ręczny, a lewą już kontruje, redukuje do dwójki i odjeżdżam w przeciwnym kierunku. Obrót o 180 stopni zrobiłem w ułamkach sekund. Ale w oknie z lewej strony uśmiechnięte psycho Bodka. Niech go! Przewidział, co zrobię i w tym samym czasie wykonał piękny nawrót na dwa samochody. Szkoda, że nie było kamer. Taka scena mogłaby się przydać w jakimś filmie.

Zatrzymujemy auta, zapalamy papierosa, milczymy chwilę, a później salwa śmiechu. Krztusimy się, oklepujemy po plecach, całujemy z dubeltówką. Zrobimy tę scenę. Wiemy już jak!

Jeszcze kilka przejazdów. Synchronizujemy zbliżanie bokami samochodów. Dochodzimy do 10 centymetrów. Starczy. Teraz niech komandosi się popiszą, zobaczymy czego ich w wojsku nauczyli.

Drugiego dnia trenujemy już od rana. Pas ma 4.800 m. Początkowo jeździmy pięćdziesiątką. Zaraz po starcie zbliżamy się do siebie na 10–15 cm. Wszystkie okna otwarte. Pasażer Bogdana przechodzi z prawego przedniego fotela na tylną kanapę, kuca na niej. Jedziemy lew w lew, staram się, aby pokrywały się słupki między oknami. Jest. Kątem oka widzę rękę komandosa na słupku. Mignął cię i już jest w moim aucie. Teraz kolej na Bogdana. Przyspiesza trochę. Kiedy tylnie — boczne okno jego Fiata zgrywa się z moim prawym przednim — „mój” komandos skacze. Nie zdążyliśmy zgrać szybkości — skacząc uderza głową w bok samochodu! Odskakujemy od siebie. Zdążyliśmy! Miał szczęście. Głowę chronił kask, ale łokieć i kolana poważnie otarła. Dlaczego nie czekał na znak? Tłumaczmy mu — za szybko jesteś, koleś. Kaskader dziesięć razy sprawdził, zanim raz zrobi.

Popalili, odpoczęli i do roboty. Powtarzamy pięćdziesiątkę, zbliżenie, najpierw skacze komandos Bodka. Jest. Bodek wyprzedza. Synchronizacja — jego boczne — tylne okno, moje boczne — przednie. Jest. Tak trzymać. Jedziemy, metry uciekają, a mój potłuczony nie skacze. Zdręfil, skurczybyk! Spoglądam w prawo — nadal pełny synchron. Walnąłem go w zadek z całej siły. Wyskoczył jak z kaptuły. Nareszcie pierwsza udana próba.

Postraszmy komandosów? Keiuk do góry i pełen gaz. Na liczniku sto pięćdziesiąt, hamowanie, redukcja, nawrót. Chłopaki pobledli, ale trzymają się dobrze.

Robimy trzy rundy na pełnym gazie — niech się oswoją z szybkością.

Dosyć zabawy. Wielokrotnie powtarzamy przeskakowanie, za każdym razem zwiększając szybkość. Kończymy, kiedy chłopcy skaczą przy osiemdziesiątce. Umawiamy się na jutro.

Nazajutrz trenujemy do upadłego. To już ostatni dzień przed zdjęciami. Komandosi skaczą przy setce bez mrugnięcia okiem. Nasz synchron też się zgadza, potrafimy przez kilometr jechać stową i utrzymać odległość 10–15 cm.

Umawiamy się na rano w wytwórni.

Dzień zaczynamy pechem. Pochmurno. Nie ma zdjęć. Prognoza pogody zapowiada co prawda większe przejśnienia, ale dzisiaj ze zdjęć rich.

Przez kolejne trzy dni kłębimy meteorologię w żywe kalendarie.

Wreszcie jest słońce! Jedziemy na plan. Przygotowania do zdjęć i narastająca nerwowa Obaj z Bodkiem już ją znamy, ale nasi komandosi jeszcze nie. Pała jak smoki, łażą za kamerzystami i całym personelem pomocniczym. Ucinają flirt z charakterystykami. Zaczynają pozować na bohaterów. No, tak — dziewczyny na planie, to panowie kaskaderzy gotowi się zabić, byleby tylko zabłysnąć.

Nareszcie można. Dwa próbne duble i jeden przejazd na czysto. Biorą nas z dwóch kamer. Jedną jedzie przed nami i filmuje najazd, drugą imituje spojrzenie ścigającej milicji.

Klapi! Ruszamy! Kamera jadąca przed nami jedzie osiemdziesiątką, jesteśmy za nią dwadzieścia metrów. Komandosi skaczą. Stop! Mało dynamicznie. Powtarzamy. Ustalamy, że kamera przednią pojedzie setką. Skok! Niby dobrze, ale reżyser niezadowolony. Przerwa. Palimy papierosa. Jesteśmy skwaszeni. Tu, na planie, najwyższą nagrodą jest uznanie reżysera i kamerzystów. Na razie nie wzbudziliśmy zachwytów.

Proszę nas na naradę. Kierownik produkcji namawia reżysera na zdjęcia trickowe. — Nie po to uwzględniłem w scenariuszu kaskaderów, żebym robił trickową chałę — broni się reżyser. Jesteśmy za nim. To sprawa naszego honoru. — Zrobimy to, szefie, przy stu pięćdziesiątce.

Kierownik protestuje. Ostrzega nas. Jeżeli uszkodzimy auta, o innych wypadkach w ogóle nie chce myśleć — to tak nam da popalić, że już nikt nigdy nie zatrudni nas na planie.

Cholera wie co robić? Kierownik straszy przepisami, reżyser — chłop ambitny i nie lubi fuszerki na planie. Patrę na Bogdana, spogląda obojętnie w bok, tylko pałce prawej ręki wybijają rytm na spodniach. Szkoda czasu. Jedziemy! Komandosi szczęśliwi — nareszcie popiszą się przed damami.

Zmiana samochodów pod kamerą — dotychczasowe były zbyt wolne. Reżyser chce mieć jeszcze ujęcie z wnętrza wozu i wsadza do mnie kamerzystę — znakomitego pana Włodka, specja od filmowania kaskaderki.

Jazda! Umowa z reżyserem jest taka — jeden dobry dubel i koniec na dzisiaj. Szybkość przy skoku 150 km na godzinę. Długość przejazdu około 5 km.

Bogdan jedzie po prawej stronie. Ja gram auto wyprzedzające. Ruszamy! Klapi! Bogdan odjeżdża, ja muszę go dogonić. Startuję po 15 sekundach. Od razu idę ostro. Sto, sto trzydzieści, sto pięćdziesiąt, sto siedemdziesiąt, dochodzę go. Teraz synchronizacja. Za szybko! Nie mogę nacisnąć hamulca,

bo tylna kamera zarejestruje to i wyjdzie fałsz: przecież przy wyprzedzaniu na prostej pojazd wyprzedzający nie powinien hamować. Zdejmuję nogę z gazu, Bodek dodaje i po chwili mamy synchron. Komandos Bodka skacze. Krzyk i trask u mnie w samochodzie. Nie patrzę, co się stało, wiem, że komandos wpadł do środka, pewnie rąbnął w coś. Teraz Bogdan przyspiesza, zgrywamy tak by mój komandos mógł wyskoczyć z przedniego fotela mojego samochodu na tylną kanapę samochodu Bodka. Skok! Nagle widzę zakręt w lewo i auto z kamerą prawie na masce. W lewo! Pełny ślizg! Kontra, druga kontra. Uff! Utrzymałem się na drodze. Po prawej widzę Bodka, jak walczy z asfaltem. Przez okno wystaje dolna połowa komandosa.

Hamujemy! Gdzie wóz z kamerą? Jest, stoi w polu. Pojechał na wprost na zakręcie. Na szczęście rów był płytki i nic się nie stało.

Było znakomicie. Reżyser zadowolony, tylko nie ma pewności, czy wszystko nakręcił. Namawia nas na jeszcze jeden dubel. Tym razem kierownik produkcji jest stanowczy, zabiera kluczyki od samochodów. Prawdę mówiąc, jestem mu wdzięczny za to.

Nasi komandosi już się „bohaterszczą” przed charakterystykami. Pal ich diabli — mają do tego prawo.

To jeszcze jednak nie koniec pracy. W dalszej części filmu będziemy grali milicjantów,

którzy muszą zatrzymać oba szpiegowskie samochody.

Jak to zrobić? W scenariuszu podano szczegółowe czynności, ale były one zbyt szablonowe. Reżyser zgodził się z nami. Wymyśliłmy końcówkę. Rzecz zaakceptowano. Gramy na planie!

Ścigane samochody dokonały już zmiany załóg i grzecznie jadą drogą. Za nimi radiowóz milicji. Zbliżają się do miejsca. Zatrzymanie musi odbyć się przed miastem — aby nie zgubić uciekinierów. Radiowóz gwałtownie przyspiesza i dogania pierwsze auto; drugie jest jakieś 200 metrów w przódzie. Kiedy ścigający i ścigany zrównują się, milicjanci lizakiem nakazują zatrzymanie. W tym momencie pasażer szpiegowskiego wozu strzela. Milicjanci z tylnego siedzenia również strzelają. Wozy jadą coraz szybciej. Radiowóz zbliża się bokiem do ściganego. Milicjant kilkoma strzałami rozbija boczną szybę, i kiedy wozy prawie się stykają — wskakuje do środka. Wozy na chwilę rozjeżdżają się i znowu ocierają bokami. W tym momencie drugi milicjant z bronią ładuje w szpiegowskim aucie. Po chwili samochód zatrzymuje się. Będą dograne, oczywiście, sceny wewnątrz auta, gdzie komandosi znowu się popiszą.

Tymczasem radiowóz mknie dalej, aby zatrzymać drugiego uciekiniera. Pozostało już tylko dwóch milicjantów. To Bodek i ja. Ten samochód musimy za-

trzymać inną techniką, żeby widzieliśmy mogli przeżyć jeszcze jeden dreszczyk.

Doganiamy drugiego uciekiniera, zrównujemy się z nim. Ja prowadzę, Bogdan daje znaki do zatrzymania, lecz kierowca nie zważa na sygnały. Jedzie dalej, w chwilę później gwałtownie przyspiesza i wyprzedza radiowóz o pół długości. W tym momencie pasażer strzela do Bogdana. Bodek odpowiada ogniem i pasażer bezwładnie opada na fotel. Kierowca kontynuuje ucieczkę. Oba wozy idą równo obok siebie. Zbliżają się do prawego zakrętu. Na łuku zauważają nadjeżdżającą z przodu ciężarówkę.

Radiowóz gwałtownie przyspiesza, wyskakuje przed ściganego i gwałtownie hamuje. Uderzenie w tył radiowozu, który wpada w poślizg i przewraca się na bok i na dach. Auto szpiegowskie wpada na milicjanta i zatrzymuje się. Kupa szkła i kurz. Cisza. Po chwili nadjeżdża nowy radiowóz, z którego wybiegają milicjanci i wyścigają swoich kolegów, żywych — chociaż solidnie poturbowanych i nie mniej poturbowanego szpiega. Drugi „nie żyje”, zastrzelony przez Bogdana.

Kiedy zakończyliśmy nakręcanie tego ujęcia — zachwytem ekipy filmowej nie było końca. Byliśmy dumni jak pawie. Zrobiliśmy kaskaderski SUPER DUBEL.

Zonon kupiliśmy kwiaty.



Rys. Andrzej Tylczyński

Nie, nie będzie to felieton o poezji współczesnej, której — tradycyjnie już — zarzuca się brak komunikatywności. W nowym zbiorze wierszy Tomasza Soidenhoffa jest taki znamieny cytat: Młodego człowieka, który pracuje, ma własną rodzinę, taką poezję z wielkimi problemami egzystencji, ludzkiej — odbiera po prostu chęć do życia — twierdzi pracownica przedsiębiorstwa „ELBET”. Ponury sens takiej wypowiedzi nie świadczy jednak przeciwko poezji.

Przeciwko pewnym artystom świadcza natomiast ich wypowiedzi. Ostatnio spotkałem taką osobliwość na łamach młodzieżowego pisma o bardzo pięknej tradycji.

Otóż pismo przeprowadza ankietę poświęconą problemom twórczości plastycznej. Młodzi artyści odpowiadają na pytania. No. Czego oczekuje od ciebie odbiorca?

Artysta odpowiada (cytuje): Moja twórczość dotyczy ekstremów rzeczywistości, marginalnych specyfik, jakichś zaledwie fragmentów współczesnego kodu wizualnego, przekazu informacji, estetyki. Nie zawieram w obrazach projektów zmiany świata, nie sugeruję własnego stosunku do rzeczywistości, nie moralizuję, nie opisuję. (...) Chciałbym być zrozumiany i

zaakceptowany, ale jeśli nawet tak się nie dzieje, będę konsekwentnie uprawiał swoją drogę twórczości.

Proszę raz jeszcze przeczytać tę osobliwą wypowiedź. Z tego słownego męliku wylaniają się dwa elementy. Po pierwsze artysta nie odpowiada na pytanie czego oczekuje od niego odbiorca. Mówi natomiast czego on

POETYKA NIEKOMUNIKATYWNOŚCI

oczekuje od odbiorcy. Akceptacji mianowicie.

Po drugie artysta oświadcza, że obce mu jest to wszystko, co stanowi sztukę — nie ma własnego stosunku do rzeczywistości, nie ma żadnej wizji świata. Nie ma żadnej koncepcji moralnej, odżegnuje się także od prostego opisu świata. Przepraszam bardzo, ale co w takim razie jest sensem tej sztuki? Nie wiadomo.

Na pytanie Jak rozumiesz współczesność swojej sztuki — artysta odpowiada: Współczesność mojej twórczości polega między innymi na odkrywaniu malarstwa starych mistrzów. Na fascynacji tym malarstwem. Również na zafascynowaniu sztuką współczesną. Jestem gdzieś w swoim punkcie historii (...) między generacjami, które odeszły i tymi które nadejdą. Postugu-

ję się językiem znaków charakterystycznym dla mojej epoki...

Przykro mi bardzo, ale jest to wszystko w stylu „klitusbajduś”. Artysta, być może, znakomicie maluje (choć nie dostrzegam jego nazwiska w czołówce młodych plastyków), ale opowiada rzeczy bez sensu. Jest współczesny, bo odkrywa starych mistrzów? Jest między generacjami? Ludzie! Każdy jest przecież między generacją, która odeszła i tą którą nad-

chodzi. To co mówi artysta to banal i ple-pie.

Po co mu pismo młodzieżowe robi reklamę, każąc pisać androny na całą kolumnę, zamiast pokazać parę jego prac? Panuje u nas przekonanie, że artysta najlepiej wypowie się w tzw. „autodefinicji”. „Poezja” kiedyś też przygotowała numer, w którym kilkudziesięciu poetów publikowało swoje „autodefinicje”. Debiuty młodych poetów w serii. Pokolenie które wstępuje” były również zaopatrzone w „autodefinicje”.

Nonsens! Każdy artysta, najlepiej wypowiada się poprzez swoją twórczość. Dopisywanie jej znaczeń w sposób bardziej lub mniej zagmatwany nie podniesie jej rangi. Ostatnio szczególnie plastycy upodobili sobie bełkotliwe teoretyzowanie. Jeszcze ma to uzasadnienie w wypadku artysty młodego, który jedynie bełkotliwą teorią może zwrócić na siebie uwagę. Ale przecież i bardzo utalentowani malarze piszą śmieszne uzupełnienia i niepotrzebne „autodefinicje”.

Poetyka niekomunikatywności streszcza się w hasło „maksimum niejasnych sformułowań przy minimum sensu”. Jest to jedna z najmłodniejszych ostatnio poetyk.

WIDOK

LESZEK RÓZGA



Wielu do stolicy zmierza,
A on z Łodzi aż do Zgierza.

Rys. Stanisław Ibis-Grajkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

Samotność na torze

Stuchając radiowego sprawozdania z biegu narciarskiego, w którym wziął udział również nasz reprezentant — Józef Łuszczyk, starałam się wyobrazić go sobie samotnie na narciarskim torze. Samotną była też Erwina Rys-Perens. Te samotności rozumieć jednak nieco inaczej. Pewnie, że narciarz musi biec sam, podobnie łyżwiarka. Ale inni mieli w tym, czy innym biegu kolegów ze swojej drużyny. Jeśli jemu nie wyszedł bieg, jeśli nie trafił smarami, jeśli miał słabszy dzień, bo wszystko może się zdarzyć, to wiedział, że gdzieś na torze, czy w następnym biegu wystartuje inny zawodnik jego drużyny i może jemu pomóc. Józef Łuszczyk i Erwina Rys-Perens byli samotni w takim właśnie sensie. Tylko oni mogli coś zrobić dla naszych barw narodowych. Wszystko albo nie.

Józef Łuszczyk w biegu narciarskim na 30 km był piąty, w biegu na 15 km — szósty. Erwina Rys-Perens w biegu łyżwiarskim na 1500 m była 17. Stracone szanse — można powiedzieć. Wiadomo, że nasi nie wypadają w Lake Placid najlepiej. Ale też nie liczyliśmy na dużo. I trudno mieć do Józefa Łuszczyka czy Erwiny Rys-Perens o to pretensje, tak jak trudno mieć pretensje do hokeistów, że po ładnym zwycięstwie nad drużyną Finlandii, ulegli hokeistom Związku Radzieckiego. Są po prostu słabsi. Odpadli też z konkurencji skoczkowie. Stanisław Bobak na średniej skoczni zajął 10 miejsce. Można się cieszyć, że znalazł się na końcu olimpijskiej dziesiątki. Może jeszcze Piotrowi Fijasowi uda się dobry skok na wielkiej skoczni. On lubi skakać na dużych skoczniach. Ale jak mu taki skok nie wyjdzie, to też nie będziemy mieli do niego o to pretensji. Ja przynajmniej na pewno.

Pisałam o tym, że oceniamy nasze szanse realnie i na wiele liczyć nie możemy. Nasi reprezentanci są bowiem samotni na torze. Samotni są też w kraju i w tymcale niebezpiecznie. Pisałam również o tym, że masowy ruch narciarski dopiero się zaczyna i jak wytrwamy w jego rozwijaniu, to może narodzić się następny. Ale trochę trzeba będzie na to poczekać.

Zastanawia mnie inna sprawa. Otóż Polska, CSRS i NRD leżą w takiej samej strefie klimatycznej, mają podobne warunki terenowe, może najgorsze mają sportowcy NRD, bo góry są tam jednak niższe, a przecież najlepsze wyniki w sportach zimowych osiągamy my, Czechosłowacja słynie z dobrego hokeja. NRD w ogóle słynie z dobrych sportowców. Ale skoczkowie z NRD niejedną raz już zadziwiali na wielu skoczniach Europy. W tym samym biegu, w którym Erwina Rys-Perens zajęła 17 miejsce, Sabina Becker z NRD zdobyła brązowy medal, Andrea Mitscherlich była szósta, a Silvia Albrecht — dziewiąta.

I tak można byłoby popatrzeć na inne konkurencje i wszędzie znaleźćbyśmy reprezentantów NRD, którzy plasują się na dobrych miejscach, jeśli nie zdobywają medali. Sportowcom CSRS widać się gorzej, ale przynajmniej mogą liczyć, że hokeiści przywiozą im medal. W czym więc tkwi tajemnica tego powodzenia?

Odpowiedź na to jest bardzo prosta i właściwie wszyscy ją znamy. W NRD — po prostu — dba się o sportowe wychowanie młodzieży. Wyniki osiągane przez sportowców NRD nie są przypadkowe. Tam się nie marnuje talentów. I to we wszystkich dziedzinach sportu. Tam się inwestuje w sport masowy, którego rezultatem są mistrzowie o światowym poziomie.

My natomiast robimy odwrotnie. Stawiamy na jednostki, których samotnie wypuszczamy na tor. A jak im się nie powiedzie, to zaraz biegnie wieść po kraju, że ten czy ów już się skończył. Może to i prawda, ale kogo innego nie można wystawić, bo nie ma. Mistrzowie są samotni. Za nimi długo, długo nie i dopiero polawiają się zadatki na następców. O dobrze zapowiadającej się młodzieży krąży dowcip, że się przez całe życie dobrze zapowiada. I nie poza tym. Trudno, aby było inaczej, skoro każdy dobrze zapowiadający się szybko jest eksploatowany i nie bardzo ma czas, aby prężył wzgóścić swój talent. A tak dzieje się przecież nie tylko w sportach zimowych.

Powoli coś się jednak zmienia i u nas. Takie są przynajmniej sygnały. Mamy związki sportów zimowych. Byłoby dobrze, aby za ich przyczyną te zmiany umacniały się, aby rosła kadra narciarzy, łyżwiarzy, skoczków, aby garstka najlepszych nie czuła się samotnie na torze.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

W sklepie „Centrali Rybnej” niewielki plakat przekonuje mnie, że sieja jest smaczną rybą słodkowodną. Nie muszę wierzyć na słowo. Jadłem sieję i jest to rzeczywiście smaczna ryba. Ale ponownie przekonanie się o tym nie mogę, bo akurat sieję zabrakło. W swoich zbiorach posiadam ulotkę „Centrali Rybnej”, w której zachęcano mnie i innych do „nowej przygody kulinarnej”, do spróbowania kalmarów. Spróbowałem. Można jeść. W ulotce „CR” jest kilka przepisów kulinarnych, do których potrzebne są kalmary. Nie sprawdziłem tych przepisów. Dawno już nie widziałem kalmara. Prawdopodobnie nie przyjęły się na naszym rynku. Nie nawykliśmy do jedzenia czegoś takiego. Tak rzęsta, jak nie mamy w zwyczaju jeść dużo ryb.

Sprawa nie jest jednak wcale taka błaha. „Przegląd Techniczny” opublikował swego czasu rozmowę z dr. Johnem A. Gullandem, szefem departamentu zasobów morskich FAO. Z rozmowy tej wynika, że z morza czerpiemy około 18 proc. białka zwierzęcego. Na całym świecie łowi się powyżej 70 milionów ton ryb, a niektórzy specjalści utrzymują, że górna granica tych połowów wynosi około 80 milionów ton, a więc jesteśmy już blisko końca. Optymisty twierdzą natomiast, że można łowić do 200 milionów ton rocznie bez szkody dla życia w morzach. Dr. John A. Gulland nie jest takim optymistą i szacuje możliwości rocznych połowów w morzach świata na około 100 milionów ton ryb, skorupiaków i mięczaków.

Mam więc pewne możliwości zwiększenia dostaw ryb na nasz stół, rozumiejąc „nasze” jako nie tylko polskie. Bo na całym świecie ludzie martwią się nad zwinieniem innych ludzi. W światowym jadłospisie ryby i „fruit de mer” stanowią wcale znaczącą pozycję. Dla niektórych ludów jest to główne pożywienie. Ale nie wszyscy mają łatwy dostęp do łowisk. Ryby na ogół

bardzo lubią płytsze wody szelfowe. A te są już dokładnie podzielone, jak reszta i wody głębsze przylegające do szelfów kontynentalnych. Mielśny już nawet „wojnie dorszowa”. Obecnie też, co jakiś czas, ktoś komuś zajmuje statek rybacki za naruszenie umowy o połowach. Nasze statki pływają coraz dalej po ryby. Nasi rybacy i naukowcy są autorytetami w sprawie połowów kryla.

A mimo to z rybami u nas nie najlepiej. Komunikat GUG o wykonaniu planu spo-

UWAGA NA RYBY

teczno-gospodarczego roku 1979 donosi, że dostawy na rynek mięsa, drobiu, podrobów i przetworów wzrosły o 5,6 procent w porównaniu z dostawami roku 1978. Również o 5,6 procent wzrosły dostawy ryb i przetworów rybnych. Ale w liczbach bezwzględnych stosunek dostaw mięsa do ryb wygląda inaczej. Mięsa, drobiu, podrobów i przetworów dostarczono 1995,3 tysiąca ton, ryb i przetworów rybnych — 252,9 tysiąca ton. Nie wiem, jaki powinien być właściwy stosunek spożycia ryb do spożycia mięsa, ale wiem, że zupełnie nie potrafimy wprowadzać ryb na nasze stoły.

Przed wszystkim to, co pada się w restauracjach bądź przy przerobione już w konserwach są niesmaczne. W sprawach

kulinarnych jesteśmy zdeklarowanymi konserwatystami. Z konieczności musimy wprowadzać do sprzedaży coraz to nowe gatunki ryb oceanicznych, łowionych na dalekich łowiskach. Przyrządzają je jednak po staremu, tak jak przyrządzało się ryby słodkowodne czy bałtyckie. A na świecie istnieją setki sposobów przyrządzania takich ryb. Kogo to interesuje, skoro nasza gastronomia nie potrafi uczyć się z bogactwa kuchni regionalnych czy kuchni staropolskiej. Jak nie ma karpia czy pstrąga, to nie ma żadnej ryby w galarecie, bo na nie innego nie starcza już fantazji.

Chłodni co prawda nie mamy w wystarczającej ilości, ale chłodnia stała się zbawieniem dla „CR”. W sklepach są tylko ryby mrożone. Nigdy jednak nie wiadomo, jakie to będą ryby. Mojej ulubionej sieję dawno już nie widziałem. A i innych ryb z tych lepszych i smaczniejszych gatunków również. Kiedyś zdarzało się kupić filety z soli. Dziś pozostało tylko wspomnienie. Tak jak wspomnieniem są świeże ryby.

Pamiętam, przed wieloma laty podjęto inicjatywę sprowadzania do Łodzi świeżych ryb prosto z morza. Przywożono je specjalnie wysyłką na Wybrzeże ciętarówka. Nie trwało to długo. A słyszałem od kogoś ze znajomych, że świeże ryby prosto z morza można dostać w... Opolu. Opole chyba dalej od morza niż Łódź. Pewnie, że w takim przypadku klient musi wiedzieć, kiedy i jakie ryby będą w sklepie i że będą bez wiatpienia. Inaczej klienti będą chcieli darmienia, a ryby będą się psuły.

I przetworów wiele mogą zrobić dla popularzacji ryb na naszych stołach. Idzie o „rybnych delikatesach” i kupcie konserw firm zagranicznych, a później naszych i porównajcie ich smak. Komentarz zbędny. A jednak ryby mogą i powinny być smaczne.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Czytanie cudzych wspomnień jest dla mnie zajęciem pasjonującym, także wtedy — a nawet szczególnie wtedy — kiedy autor nie jest żadną postacią historyczną, żadnym sprawcą dziejowych wydarzeń, a za to mówi o czasach i sprawach znanych mi z mojego własnego doświadczenia.

Czytam tych rzeczy mnóstwo, nie zaginając jednak o drugiej stronie medalu. Pisane wspomnienia to przecież czynność z natury trochę narcystyczna i żeby nie wiem co — autor musi w nich wypaść trochę lepiej od swego otoczenia, musi dążyć do podobania się czytelnikom, a więc ludziom mądrzejszym od tamtych, którzy żyli współcześnie z opisywanymi zdarzeniami, mądrzejszym od samego (tamto)czesnego autora, ludziom oceniającym tamte zdarzenia już z perspektywy paru dziesięcioleci lat.

Czytam wiele wspomnień z okresu wojny i wciąż nie znajduję stronice, które by dosadnie, wyraziście, odzworowały ten szczególny okres jakim były pierwsze miesiące po kapitulacji. Rzeszy dla Polaków, którzy znajdowali się wówczas na ziemiach niemieckich, zwłaszcza w ich zachodniej części. Nie podjęto też dotąd żadnej próby rzeczowego, historycznego ujęcia tego okresu. Mam tysiące przeczytanych prac dotyczących różnych odcinków frontu, różnych rodzajów konspiracji, mamy monografie poszczególnych oddziałów i oddziałków, monografie regionów, powiatów i warszawskich dzielnic, rozprawki o różnych przejawach życia w obozach koncentracyjnych

nych i w jenieckich obozach oficerskich. Nie ma prawie wcale książek o żołnierzach z niewoli, czyli o stalagach i komendach. Jeżeli nie wlecie, co to komendówka, to właśnie dlatego, że nikt o tym nigdy nie napisał. Obozy dżipów ruszono parokrotnie w bardzo indywidualnych wspominkach, nikt jednak nie pokusił się o jakąś wnikliwą próbę charakterystyki i syntezy. O bardzo szczególnym tworze — Gwardii Cywilnej — nigdzie ani słowa. O wyższych studiach organizowanych przez UNRA — ani słowa. A już

FELIETON DŁUŻSZY OD INNYCH

szczególnie dziwi fakt, że nikt nie zainteresował się dużą i znaczącą organizacją kompanii wartowniczych w strefie amerykańskiej, ani polską prasą tamtego okresu, ani życiem kulturalnym, teatralnym, szkolnym (były szkoły podstawowe, gimnazja, matury, studia).

Wiele obiecywałem sobie po książce Wacława Sternera „Gefangen i dipisi”. Nie, to jeszcze nie było to. Bardzo pięknie świadcza o autorze jego słowa: „Chciałem jak najprędzej wracać do domu. Uważałem, że jest to moim obowiązkiem w stosunku do zniszczonego kraju”. Bardzo pięknie, że wrócił nawet

przed uruchomieniem normalnej, legalnej repatriacji. Ale ja bym chciał nareszcie przeczytać wspomnienia kogoś, kto wówczas, w lecie 1945 roku, mając dwadzieścia parę lat, nie umiał kierować się na co dzień tak zasadniczymi i patetycznymi motywami, kto nie chciał wracać — i żeby napisał, dlaczego nie chciał, dlaczego i kiedy wrócił, co się stało, że zwlekał.

Wacław Sterner bardzo kocha swoje oficerskie buty i oficerski, „pistoletowy” styl bycia. Do staje się do niewoli w powsta-

niu warszawskim. Podoficerowie niemieccy stają przed nim na baczność, oficerowie częstują go wiankami. Potem w oflagu odmaria pójścia do lasu po galarecie dla ogrzania własnego baraku, bo konwencja genewska zabrania zatrudniać jeńców — oficerów. Galarecie muszą mu przyzniesić jeńcy — żołnierze, ordynansi. Skarży się na dokuczliwość głodu w obozie, chociaż — jak sam pisze — już 13 października (dwa tygodnie po przybyciu do obozu) zaczął regularnie otrzymywać amerykańskie paczki czerwonego krzyża. Znam te paczki. Czekaliśmy na nie w obozach żołnierskich trzy lata.

CWIEK

Załącznik nr. 62/.../80

HASŁO NUMERU: Nie ciesz się deszczem. Jeszcze zamarzał!

Ze sportu

SPRAWA

Przez łamy gazet sportowych przewinęła się nowa sprawa. Piłkarz WKS Śląsk Wrocław — Władysław Zmuda. Nie podpisał on kontraktu ze swoim klubem, stawiając wysokie wymagania finansowe, na które klub nie chciał się zgodzić. W różnych wypowiedziach prasowych utrzymywał, że WKS Śląsk nie wywiązał się wobec niego w okresie choroby i rekonwalescencji. W. Zmuda miał operowaną w Wiedniu nogę. Przedstawiciel WKS Śląsk twierdził, że wręcz przeciwnie. Oni chcieli pomóc, ale Władysław Zmuda nie przyjmował ich pomocy, albo przyjmował ją tylko częściowo. W końcu złożył prośbę o zwolnienie go ze Śląska. Miał przejść do RTS Widzew w Łodzi. Rozpoczął nawet w tym klubie treningi i jak podał jedna z gazet, był z drużyną RTS Widzew w Lublinie, gdzie widzewska jedenastka spotkała się z jedenastką Motoru.

I oto 13 lutego 1980 roku wrocławskie „Słowo Polskie” doniosło, a „Przegląd Sportowy” powtórzył, że Władysław Zmuda został... powołany do służby wojskowej w jednej z jednostek Śląskiego Okręgu Wojskowego. Tak więc zostanie nadal w wojskowym klubie.

W całej tej historii jest wszakże jedna sprawa zadziwiająca. Władysław Zmuda urodził się 6 czerwca 1954 roku. Od 1966 grał w Motorze Lublin, od 1972 roku w warszawskiej Gwardii, od 1978 roku w wojskowym klubie Śląsk. Jak to się stało że do tej pory nie odbył służby wojskowej? Grając nawet w wojskowym klubie? Czyżby WKS Śląsk bał się, że żołnierz Władysław Zmuda można będzie przenieść służbowo do warszawskiej Legii? A teraz już nie?

K. I. Nie

Sposób na telekomunikację

W związku z trudnościami kadrowymi, jakie napotyka nasza telekomunikacja — a dotyczy ona zwłaszcza pozyskiwania osób do pracy przy zakładaniu sieci napowietrznych, opracowano nowe, atrakcyjne wzory odczyty roboczej (patrz — zdjęcie).

Kłopot tylko w tym, że przy telefonach trzeba będzie zakładać specjalne zasłanki — aby rozmówcy nie mogli podglądać monterek instalujących lub naprawiających sieć.



Amatorzy

„Głos Robotniczy” donosił niedawno o sensacyjnej kradzieży dokonanej w Seulu. W jednym z tamtejszych sklepów skradziono 120 żywych żmij. Były to żmije rzadkiego gatunku, których mięso wpływa na wzrost potencji u mężczyzn.

Gdyby rzecz taka zdarzyła się u nas, na żmijach zrobiono by nalewkę. Żmijówka — jak głosi legenda — jest dobra na wszystko. Tylko nie ma takich odważnych, którzy żmiję włożą do butelki.

N.N.

Pogoda pogodzona

Ważnego odkrycia dokonano w Polskim Radio.

Oto 14 lutego br. w programie I ok. godz. 11.45 pewien dziennikarz stwierdził, że:

Jeszcze do niedawna mówiło się, że tak zwane łamanie w kościach zapowiada zmianę pogody. Teraz, dzięki biometeorologom wiemy, że łamanie w kościach zapowiada jeszcze niewidoczne, ale już dostrzegalne zmiany ciśnienia, temperatury, wilgotności, zmiany kierunku wiatrów itp.

Naszym zdaniem jest to najważniejsze z odkryć po odkryciu masła maślanego.

K.

Figle Czytelników

„Szpilki” (numer 7), zamieszczają sprostowanie:

„W artykule... zniekształcono tekst — zamiast... powinno być... a nie... jak wydrukowano. Za chciwe figle Czytelników przepraszamy.”

Ej ci Czytelnicy. Czytelnicy! Nie dość, że chichoczą ze „Szpilek”, to jeszcze sami w nich figlują.

*) kropki postawiliśmy w miejscach nieistotnych.

Poprawka z polskiego

Ogłoszenie z „Dziennika Popularnego”:

KIEROWNICTWO PRODUKCJI FILMU „JEDEN DZIEŃ Z MISTRZEM” POSZUKUJE

na aktorów niezawodowych chłopców i dziewcząt w wieku 16—17 lat.

Ciekawi nas z mistrzem czego, czy z jakimś małym byt ten dzień. Na pewno nie jest to mistrz języka polskiego. Skierowaliśmy go na poprawkę z gramatyki.



Rus. Edward Bogdański

DEMENTI

W poprzednim numerze „Załącznika” wprowadziliśmy w błąd naszych Czytelników, informując o rzekomym dowodzie istnienia telepatii (artykuł „Telepatia istnieje!”). Oto, jak się okazało, redaktorka B. Stół z „Tygodnika Płockiego”, która nie sprawdzając wszelkich okoliczności, uznała za telepatyczne medium, popiełniała po prostu plagiat. Wskazują na to kolejne dokumenty, jak przedrukowanie pod nazwiskiem naszej byłej bohaterki w tymże „Tygodniku Płockim” artykułu z „Głosu Robotniczego” i dalszego — z „Dziennika Popularnego”. W obu tych wypadkach zbieżności sięgają 100 procent; osiągnięcie takiego wyniku nie jest możliwe nawet przy nadzwyczajnych zdolnościach telepatycznych. Węć jednak plagiat! A łącznie — nawet trzy plagiaty.

Jakże ostrożnym trzeba być przy formułowaniu naukowych wniosków...
REDAKTOR

Niedźwiedź

Dwukrotnie pisaliśmy o tatrzańskim misiu, który pojawił się w okolicy Hall Kondratowej. Zartowaliśmy nawet, że 31 grudnia 1979 roku wyszedł na spotkanie Nowego Roku, a później wrócił do legowiska.

Telewizja pokazała jednak, że młody kreci się w rejonie Hall Kondratowej również w styczniu, a nawet i później. Teraz prasa donosiła, że „tatrzański mś nie żyje”.

Wiadomość o śmierci misia dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego przekazała 8 lutego 1980 roku. Przyczyna śmierci misia nie jest znana, a sprawą zajęła się zakopañska MO.

Smutek ogarnął człowieka, gdy pomyśli, że być może samotny niedźwiedź, który Hall Kondratową wybrał na spacer, zginął z ludzkiej ręki. Komu przeszkadzał?

Czyż nie przyjemniej byłoby nadal zartować z tatrzańskiego misia, który spaceruje po Hall Kondratowej? I cieszyć się, że niedźwiedzie wróciły w Tatry?

Zyg.

WIADOMOŚCI POCZTOWE

Z Warszawy donoszą, że na Jelonkach „Za Żelazną Bramą” nie można korzystać z automatów telefonicznych, a to dlatego, że obsługa nie wyjmuje na czas złotówek. Przepiętione pieniężnymi automatami nie przyjmują nowych złotówek i robią słuszenie.

W Łodzi natomiast na ogół nie można korzystać z automatów telefonicznych, gdyż są one zwykle popęśnięte. Obsługa nie można nadać z ich remontowaniem.

W Pabianicach telefonujący mają inny kłopot. Po zmianie numerów, mimo że Wojewódzki Urząd Telekomunikacyjny rozkazał do wszystkich abonentów wykazy nowych numerów, zdarzają się nie-

stanne pomyłki. Bywa też i tak, że do osób prywatnych drwonią interesanci różnych instytucji publicznych, pracujących całą dobę, zrywają ich ze snu, aby dowiedzieć się, że to pomyłka.

Podobne pomyłki zdarzają się też w Łodzi, gdzie również trwa już nieustannie zmiana numerów telefonicznych. W tej sytuacji wszyscy w Łodzi i Pabianicach a młejmy nadzieję, że w innych miastach województwa łódzkiego łódzkiego też czekamy z utęsknieniem na nową ksiązkę telefoniczną. Podobno ma być w kwietniu. Byleby nie była planowana na prima aprilis.

Zyg.

FAKTYCZNIE

Bogusław Kukuć poinformował czytelników „Głosu Robotniczego”, że

„CIEKAWIEJ POD KOBIECYM KOSZEM”

Nie wątpimy.

N.N.

KIEDY?

„WAGONY PKP BĘDĄ CZYSTE” — pyta w tytule „Dziennika Popularny”. Pyta słusznie, gdyż jak wynika z tekstu informacji, w Biurze Projektów Kolejowych dobiegają końca prace nad projektem urządzeń do mycia i sprzątania wagonów kolejowych. Będą więc na dworcach kaliskich i fabrycznym hydranty do mycia wagonów i odkurzacze do sprzątania ich wnętrza.

Ucieszyliśmy się z tego wszyscy, ale też pytamy: kiedy to będzie?

Okazuje się bowiem, że PKP nie może znaleźć chętnych do wybudowania kanałach, która odprowadza wodę po umyciu wagonów. A bez tego cały projekt i jego realizacja nie nadają się do niczego.

Poza tym nie wystarczy nawet najlepsze urządzenie, jeśli nie będzie chętnych do mycia wagonów. Póki więc co, będziemy jeździć nadal w brudnych.

F. A. Safer

TADEUSZ WIEŻAN

Z PAMIĘTNIKA MAJSTRA

Zenek lastrykarz długo wzbierał się przed kupnem malucha. Twierdził, że za mały, że marne przyspieszenie i że było kto dzisiaj jeździł tym samochodem.

Dlatego zdziwiło mnie, kiedy rano zamykając swoją szafkę znalazłem w niej papierosa i wieszki w pakamencie oświadczył uroczysto, że już dłużej ze swoją żoną nie wytrzymuje, bo jak się baba do czegoś uprze to musi postawić na swoim i że w sobotę idą z żoną i kupują Fiat 126p.

Wszyscy patrzyli na Zenka ze zdziwieniem i nawet niepokojem.

— I będziesz jeździł? — zapytał z gorączką Kaleciak.

— Będę! — odparł Zenek.

— Codziennie? — dopytywał się Kaleciak.

— Codziennie! — wypalił Zenek prosto w twarz koleźce.

Nie powinien był tego robić w ten sposób, bo Kaleciak odwrócił się na pięcie i wyszedł, jak nigdy, pierwszy na budowę. Burknął coś jeszcze przy drzwiach o tym, że straciliśmy

kolegę, czy coś w tym rodzaju. Nie bardzo zrozumiałem.

Tak zostało do drugiego śniadania.

Ale po posiłku Józef Wencel zwierzył mi się, że on też malucha kupuje. W południe napomknął o tym Krzysio Makarewicz. A po fajrancie i Kaleciak przystąpił do klubu smotoryzowanych.

Ucieszyła mnie ta decyzja bratanka, bo wiadomo, posiadanie samochodu zmniejsza absencję w pracy, zwłaszcza w poniedziałki, a i na co dzień likwiduje spóźnienia.

Następnego dnia przed pracą zaczął mnie pytać ile właściwie taki maluch pali na sto kilometrów?

Powiedziałem, że to zależy od regulacji zapłonu, gaźnika, oraz techniki jazdy.

I że waha się to od pięciu do pół litra do ośmiu.

— Osiem? — powtórzył Zenek.

— Osiem, to już jest coś! — ucieszył się wyraźnie Kaleciak.

— Osiem to dużo! — wtrąciłem się.

— Dzisiaj przy trudnościach paliwowych, trzeba się starać, żeby tyle nie palił — powiedziałem.

— Panie majster! — Kaleciak patrzył mi w oczy.

— Każdy musi swoją dostać. Jak motor tyle pije, ułdocienie tyle potrzebuje.

— Ale ile to kosztuje! — oburzyłem się.

Nikt mi nie nie odpowiedział, a że zbliżała się już zima, wszyscy brali z wieszaka kaski i wychodzili na plac budowy.

Zenek, który był ostatni, odwrócił się nagle do mnie i zapytał:

— A słyszał pan panie majster, że w Brazylii do benzyny dodają spirytusu, pół na pół?

— Tak słyszałem — odparłem — metylowego!

Zenek, gdy to usłyszał, wybiegł na zewnątrz.

— Chłopcy! Metylowy!

— Metylowy!

c.d.n.



Rys. Walerian Domański

TADEUSZ GIGGIER

LIMERYKI

Dwie panny, co w niedzielę zwykle długo spały, chciały raz na wycieczkę pojechać do Spawy, lecz spóźniły się na pociąg, więc im odeszła całkiem pociąg i śpią znów do południa tak, jak dawniej spały.

Jeden taki, co nosić zwykł białe mankiety, uwielbiał za państwowe pieniądze bankiety, a raz kelner, widząc mankiety, zrobił rachunek za bankiety, na tym mankiety gościa z wysokiej society.

MAGAZYN KULTURALNY